



3

34

OPOWIEŚĆ O PŁANETNIKU

WŁADYSŁAW ORKAN

# OPOWIEŚĆ O PŁANETNIKU

WYBÓR NOWEL

*N 3/10/24*



NAKŁAD KSIĘGARNI ŚW. WOJCIECHA  
POZNAŃ — WARSZAWA — WILNO — LUBLIN



101635

TŁOCZONE W DRUKARNI ŚW. WOJCIECHA  
NA PAPIERZE Z WŁASNEJ PAPIERNI „MALTA”

K-232/79/113006

## JUZYNA.

Śródwieczerz. Słonko za górę się już skryło, nie widać go. Cień tylko, na przeciwległy las padający, mówi, że nie zaszło... I nie wnet jeszcze zajdzie, co cień dopiero za potokiem, a na całej uboczy białość wielka usiadła i nie myśli ustąpić i nie i nie...

— Tak pomalutku idzie ten cień! — skarży się cicho pasterz mały, pasący owce na tej stronie, gdzie słonko nie świeci. — Tak pomalutku się podnosi!... A tu się cnie... Czy mi też wyniesia juzynę<sup>1)</sup>, czy nie? Obiecali na pewno, skoro przydzie śródwieczerz. A tu śródwieczerz przyszedł i nie...

Poziera ku wierchowi na tłok wydeptany, którego się owce na odwieczerz wygania. Wie, że tamtędy musi iść, kto idzie — wie, że od chałup indziej nie chadzają... Ale nie widać i nie i nie!

Nieraz, gdy się wpatruje uporczywie długo, zdaje mu się, że widzi wychylającą się z poza wierchu głowę — serce poczyną mu z uciechy skakać — ale cóż? Przekonywa się, przetarłszy oczy, że to jałowiec... Kto mu hań kazał rósć na samym wierchu? Żeby ludzi zwodził daremno? Jak słońce go oświecił z tamtej strony, kiedy się

<sup>1)</sup> Juzyna — (niem. Jause) podwieczorek.

z dołu w niego patrzy, to nic, ino gazda i gazda... Te same pomierzwione nad uszami włosy, ten sam kapelusz na kudłatej głowie... Gazda i gazda.

— Obiecali mi juczynę... Pewnie, że oniby mi sami nie wynieśli. Kazaliby Zośce, abo Marynie... Choć, kto wie! Chadzają tędy do wrębu, do lasu — mogliby zawziąć... Nie zerwaliby sie kawalkiem placka... A upiekli! Wiem, że upiekli... Nie po darmo tarli wczora na młynku! Musieli piec...

Ażeby skrócić czas oczekiwania i przymusić niejako to, co ma przyjść, ażeby nadeszło w czasie, ograniczonym jego wola — począł rachować najpierw do dziesięciu, potem do pięćdziesięciu i stu...

A skoro widział daremność rachowania cyfr w pamięci swojej, począł rachować kroki, chodząc po ugorze, pośród jałowców oddalonych.

— Jak dojdę — myślał — do tego jałowca, nie... do tamtego, to już przyjdzie ktoś...

Ale doszedł do niego i wrócił napowrót, a tu nikogo nie widać i nie...

Ażeby się już nie zawieść ostatni raz, pomyślał sobie położenie swoje, jak mógł najgorzej — to znaczy: że gospodyni wyjęła dopiero placki z pieca i poukładała na ławie. Jeszcze są ciepłe.

— Tak... I odtąd trzeba dopiero rachować czas powolusieńku, a samo przyjdzie bez czekania. Mój placek, już wiem, który — ten na samym końcu ławy, poskrobek. Teraz gospodyni obraca się do gazdy, mówiąc: „Trzeby Józkwowi posłać juczynę, bo mu sie tam cnie... Gazda poziera w okno: „O, dyć jeszcze czas... Do wieczora daleko“... A w duchu sobie myśli: „Dałby ja ci juczynę, hyclu, za to zboże, coś mi kiedyś tak owca-

ni spasi!“ A gospodyni, nie wiedząc, co on se tam pocichu myśli, bierze mój placek, ociera zapaską i wynosi do sieni na chłód... „Zosiu, Zosiu!“ — powiada, wracając do izby — „abo ty, Maryś! Weź-no łoktuse, zaodziej sie, bo trza mu zanieść tę juczynę... Niech ma. Niech se nie krzywdzi“. Gazda coś mruknął, wyszedł na osiedle, boi się widać gospodyni, choć tak umie kłać, jak wójt. Maryna zaodziewa chustkę, ale jej niesporo... „Kto wie, kany on tam pasie!“ — powiada. — „Ty go tam znajdziesz, ino idź!“ — mówi gospodyni — „a wracaj sie wartko, nie siedź, nie ozglądaj sie po ugorach!... Juczynę mu weź“... Maryna poszła, idzie, idzie... Już jest nad chałupą... Już na ugorach... Jak pomalutku schodzi ten czas!

Poszedł za owcami, żeby je pozganiać w jeden kerdel, zanim Maryna przyniesie juczynę. Ujrzy na własne oczy, jak mu się owce pasą, opowie potem w chałupie i będą z niego strasznie radzi, ze umie dobrze paść...

Pozganiał je wszyściuteńkie w dolinę i czeka. — Teraz już powinna dochodzić do wierchu. Za niedużą chwilę bedzie tu...

Ta chwila przeszła i druga i trzecia, a nikogusieńko nie widać...

Patrzy na cień.

A cień już wyszedł do połowy lasu i sunie zwolna po wierzchołkach drzew.

— Jak dojdzie do tej jedli starej, co sie hań od wiatru chwieruta, to ona już bedzie tu... Abo nie. Jak cień dogoni tego smreka przy samej polanie, to ona wtedy przyjdzie... Abo jeszcze nie! Jak cień doleci do tych pniaków, co sie hań we wrębie czerwienią!

— To już będzie wieczór! — szepnęła mu obawa.

O mało, że się nie rozplakał. Poczęły mu już kółka latać przed oczyma, lecz chlipnął parę łez i połknął je. A reszta mu gorzkością osiadła na sercu i zaczęło mu być duszno i ciężko.

Pocieszał się tem, że może za wcześniej upiekły się mu w myślach jego placki. Może jeszcze nie wyjęli z pieca. Abo się chłódzą... Maryna jeszcze nie wyszła z chałupy — to jakże miała przyjść?

Począł się modlić. Najpierw o to, żeby Stróż Anioł dopilnował placków, coby się jak najszybciej upiekły... Potem o to, żeby Duch Święty natchnął gospodynię, coby nie zabaczyła o nim i poskrobek wyniesła na chłód, zanim się insze ostudzą... Nakoniec o to, żeby też Matka Najświętsza przyczyniła się za nim i uprosiła Pana Jezusa, synaczka swojego najmilszego, coby mu już wynieśli tę jużynę, bo się cnie... Oj, cnie się! W niebie ani o tem nie wiedzą, jak się cnie.

Obchodził owce dookoła, zganiał je w dolinę i modlił się tak szczerze, jak na świecie nikt.

Zmówił wszystkie pacierze, jakie umiał napaamięć — a tu nie widać i nie i nie... Nikoguteńko! Żywej duszy! Pustka i pustka, więcej nic.

Chodzi pośród jałowców, a owce się pasa, a dzwonki drobne turlikają wciąż...

Cień ponad las już przemknął i wyszedł do wrębu i ku wierchowi zwolna się posuwa. Niedługo dojdzie na sam szczyt...

— I amen! — szepnął sobie. — Daremne czekanie... o Jezus! Jezus!

Począł cicho łkać.

Lecz wnet otarł łzy rękawem, przybaczył sobie, że niedaleko stąd, przy samiuteńkich ugorach jest posadzony czyjś zagon ziemniaków...

— Możeby iść? — pomyślał — i wygrzebać pare...

Ciekawy był zresztą, dużo podrosły od tego czasu, kiedy ostatni raz na nie zazierał. Wtedy jeszcze wodne były, nie do jedzenia.

— Możeby się już dały upiec...

Ale zbaczył se w tej minucie, że pośród rządów był i groch. Ten już musiał urósć na pewno. Dojrzał, ino go ni ma kto oberwać...

— Trzaby iść, przekonać się na miejscu...

Postąpił naprzód parę kroków, ale uczył zaraz, że go coś wstrzymuje i coś go szarpie za rękaw płócienny, szepając bezustanku: „Nie chodź!“ Co się ruszy, to słyszy poza sobą: „Nie chodź, Józek, powiadam ci, bo bedziesz widział!“ O, nie śpasy, poczyna go już straszyć. Obziera się dookoła... nikogusieńko!

Zastanowił się i przebaczył sobie, jak mu to samo raz mówiło: „Nie chodź!“ — a on nie usłuchnął, ale poszedł i natargał strączków do kapelusza... Miał już odchodzić, kiedy wypadł chłop zmienacka, (miał się już na niego oddawna przystrzegać), puścił się za nim — a on w ucieki!... ale dopadł go na tłoku i wycombrzył za uszy. Jedno go jeszcze do dzisiaj boli, bo mu je w złości wielkiej poderwał. O uszy mniejsza, ino o kapelusz! Kapelusz zabrał chłop i nie chciał oddać, choć go zdaleka o to pięknie prosił. Zabrał razem ze strączkami grochu i poszedł. Przygania Józek owce do chałupy, wchodzi do izby płaczący — pytają się: „Kanyś podział kapelusz?“ Gazda

już i nie czekał końca opowieści, ale mu dał parę pięści, które haw do dzisiejsza za łopatką czuje. Siedzą mu tak, jak żeby dwa ostre kamienie przyłożyły, i czasami nawet koła, jak się za owcami ulata.

To mu wszystko stanęło nagle przed oczami, a to wszystko z powodu tego, że nie posłuchał wtedy głosu, co mu powiedział: „Nie chodź!” Nie posłuchał i poszedł, i tyle miał z tego. Nawet i strączka grochu nie zjadł... małego strączusia! Tyle miał z tego.

Może być, że teraz nie spotkałoby go to nie-szczęście. Może i chłop zabaczył o nim doznaku... Trudno miałby się codziennie przysstrzegać! Roboty jest dość, pewnie przy chałupie siedzi, nie wyrzy...

Ale jak mu tymczasem jużynę wyniosa... co wtedy będzie? Owce się porozchodzą... i pasterza nima... zobacz, jak on pasie, powiedzą w chałupie... Dostanie on wtedy jużynę! Jezu Chryste, ratuj! Kto jaki święty...

Jeszcze mu nie wywietrzał z pamięci ten wieczór, kiedy z płaczem przygnął parę owiec, powiadając, że reszty nima... Straciły się kanyś, poszły pomiędzy jałowce — a tu wieczór i odnaleźć bieda, bo nie widzi pociemku, co tam stoi: owca, czy jałowiec?... Tak opowiadał prosto, narzekając i rzewnie płakał. Wtedy mu kazali iść i szukać, a jak nie znajdzie, to nie ma poco wracać do chałupy... To mu pedzieli — więcej nic. Wieczereż jedli sami, a on u progu stał... I poszedł potem na ugory, bez czucia, w strachu wielkim, bo wszędy czarna była noc... Chodził i płakał i wołał tych owiec... wołał na każdą po imieniu, głośno, ale

żadna się nie odezwała... Jeno sowa odpowiadała mu z lasu, podrzeźniając, i śmiała się tak z niego, że się aż bał.

Wzdrygnął się na samo przypomnienie tej chwili i pobiegł za owcami, które go odeszły. Nie myślał już o grochu, ani o ziemniakach.

— Może jeszcze jużynę wyniosa...

Nie tracił nadziei. Pasł owce, nawracał je i starał się narazie o niczem nie myśleć, nic nie przypominać, bo wszystko było złe i strasznie smutne, co dotąd przeżył.

A życie swoje rachował od czasu, kiedy go matka zaozdiała pacześną łoktusą i powiedziała: „Póź! pódziemy na służbę“... Nie rozumiał wtedy, co te słowa znaczą, a potem... ho! Co on już od tego czasu przeżył! Mój Boże! Mógłby się niejednemu pochwalić... Powiadają, że długo trzeba żyć na świecie, nim człowiek przywyknie. On przywyknął odrazu, ino mu się cnie... Żeby tak ludzie pamiętali o nim, jak on o ich bydle pamiętał, toby mu na świecie niczego nie trza było. Nawet by mu się nie cnęło tak bardzo, a może i nic... Ale oni są strasznie niepamiętni, jak przyjdzie komu co dać... Zasługę nieraz już mu ukrócili, wytrącając szkody przerozmaite. A na to żadnej nie było uwagi, że on świtanie, kiedy jeszcze spali, bydło wypuszczał i na paszę gnał... Nieraz, bywało, zabaczyli o nim, nikt mu śniadania nie wyniósł — on pasł... Potem przyganiał dobrze napasione. Ale oni są strasznie niepamiętni na czyje dobro. I nie miarkują nigdy, jak się to cnie. Musiało im się nigdy w życiu nie cnać, abo...

Już sam nie wiedział, co ma o tem myśleć, że z tą jużyną nie widać i nie.

— Musieli se o mnie zabaczyć, musieli! — począł cicho lamentować. — Nie wiedzą pewnie, czy jest na świecie jaki Józek...

Żal mu się zrobiło samego siebie. On musi boskiem za owcami chodzić, skórę już poodbijał doznaku na piętach... Nikt nie pomyśli, żeby kierpce kupić. Żeby choć nie obiecywali, jak przypomina gaździe — na nic! daremno! Obiecują tylko, jak zawdy. Żeby choć nie obiecowali, jak ni mają chęci kupić, toby już było lżej... Bo człek nie wyzierałby z takim utęsknieniem — napróżno...

— Jak i dziś. Potrzebno im to było mówić, że mi wyniesą juczynę, kie nie mieli chęci? Mogliby ino pedzieć: „Paś, nie puszczaj na zboże, bo to twoja psia powinność, hychu!” — i nic więcej... Ale oni mi powiadają: „Paśże, paś! A jak dobrze bedziesz paśł, nie puścisz na zboże, to ci tam ktoś wyniesie juczynę“... Dyć dobrze pasę, bo ani kłóseczka nie urwała owca bez caluteńki odwieczersz... A juczyny nima i nima... Nikto nie wyniesie... ani pies!

Gorycz kroplami padała na serce i tak jej dużo spłynęło, że się uczuł złym.

— Cygaństwo świata! — myślał — i nic więcej... Naobiecują, naschlebiają, a potem, to nic...

Ale cóż złość poradzi przeciwko niemocy! Poczul to sam, gdy puścił się za owcą siwą, chcąc ją dogonić i ukarać za to, że na zboże poszła, kiedy on dumał.

— Ja cie tu przecie raz... cygański siwcu...

Biegł, co miał sił, ale owca jeszcze prędeej. Nie mógł jej dogonić — ustał i padł i począł ciężko dyszeć... daremna złość! Nic nie poradzi przeciwko niemocy... Uczul to sam.

Owce się rozbuchały; ta przodownica siwa pobuntowała insze tak, że poczęły gonić po ugorach, jakby djabeł w każdą wstąpił i opętał ją.

Nie czuł już w sobie siły zganiać je w dolinę. Złość go osłabiła doreszty. Wodził tylko za niemmi oczyma, leżąc, by wiedział, jak się ze ziemi zbierze, kany którądy która poszła, by następnie widziały, że on patrzy na nie, i nie ważyły się wobec tego na cudzą szkodę iść.

Widział, jak się ustanowiły na chwilę, i podzielone, gromadkami rozchodziły się i traciły między jałowcami.

Światła czerwone koło wierchu zgasły. Ciefi się posunął do samego szczytu — potem się oparł na niebie i znikł...

— Słonko już pewnie zaszło... Trzaby gnać...

Ale w nim, gdy tak leżał, zastało się wszystko. To, że musiałby się podźwignąć ze ziemi, już mu sprawiało ból.

— Niech ta — pomyślał — Niech zaszło! Ja tyle czasy czekał, zanim zajdzie. Musiało przecie zająć... Teraz już daremno! I czekać nima co... Juczyny nikto nie wyniesie... Ktoby po nocy niósł?

Ostatnia już nadzieja mroczna się rozwiała — i wszystko naraz w oczach pociemniało.

— Amen i konjecz.

Podniósł się na rękę, ale nie powstał, jeno siadł. Przysunął się do jałowca, nogi skurczył, palce poza nie zaplótł i brodę oparł na kolanach.

— Niech sie, co chce, dzieje — nie pódę... nie ruszę sie i co mi kto robi. Na despet nie pożenę do chałupy... Niech sie tróbuja. Niech sie

ta boją, że mi owce zająni, abo je wilk pozjadał... Niech się ta boją.

Zganiał myśli odporne i zacinał się w sercu swoim — a żal go zwolna ogarniał całego, coraz to większy żal... Opór, zalany łzami, gasł — podnosiło się lkanie głośne i krzyczało mu serce oskarżeniem żałością na cały boży świat.

— Nie wynieśli juczyny! Nie wynieśli!

I nie wyniesą. Wiedział o tem, że już nie wyniesą.

Poczęło go coś dławić w gardle. Cały potok słonej, gryzącej serce gorzkości pienił się i podnosił do ocz, aż nareszcie przepelniał się i trysnął, jak to źródło narodzone w skale, bijące prosto w górę białą strugą, która się rozpryskuje w świetlane kropelki, w cichy i nieustannie spadający deszcz...

Nie mógł nijakim światem ustanowić łez. Stały się siwe krople — jedna za drugą — i coraz prędzej, coraz szybciej, aż się poczęły doganiać wzajemnie i cióreckiem lecieć — białą nitką — prościutko na ziemię...

I długo, długo w tej pustaci nie słychać było nic — jeno z oddali przychodzące turlikanie owiec i płacz serdeczny ich pasterza, odchodzący w dal...

A mrok już z dołu wyszedł, z potoka, gdzie spał przez cały dzień w smrekowym cieniu — wyciągnął długie łapy, kudłate i czarne i przyczajony, zaczął się czołgać po uboczy stromej pod rdzawy, szarzejący wierch...

Nastąpi cisza.

Płacz, zmordowany, ucichnął doznaku.

Owce się potraciły. Dzwonków już nie słychać. Nie słychać nic.

Daleko tylko, kędys poza lasem, śpiewają echa, coś przedziwnie gra...

Jakieś znajome dolatują głosy...

Skąd one przyszły i skąd on je zna?

Pamięta dobrze...

„Husiaj mi sie, husiaj“ —

To samo kiedys śpiewował mu ktoś... Czyby nie matka?... Któż wie, może ona... Pewnie, że ona... śpiewała mu... pamięta dobrze...

Ale to już tak dawno, tak strasznie dawno!...

Wtedy jeszcze nie służył i nie pasł... Tak, pasł dwie owce... Ale ino dwie... Strasznie były potulne... Chodziły za nim, jak dwa psy... Dawał im z ręki sól... pamięta dobrze... Co się z niemi stało, to już nie wie... Musiał je pewnie wilk porwać, abo co... Ale to już wilków nima... może wtedy były? Przypomniał sobie, ale nie zbaczył, żeby widział jakiego, choć nieraz na odwieczarz wyganiał za górę, kany chałup nie było, ani żywej duszy, ino jeden las i jałowce, ino jeden las.. Nie cnęło mu się przecie nigdy, bo miał kto o nim pamiętać na świecie... A teraz... mocny Boże! Nikogo nima... nikogusieńko na całym świecie!... Sam jeden i Stróż Anioł, co mu owce nawraca...

Poczęło mu się śnić... Pasł owce po ugorach pomiędzy jałowcami bez caluteńki odwieczarz... Obiecali mu juczynę, obiecali na pewno, jak będzie dobrze pasł... Nie puszczał je na zboże, ani razu nie puścił, pilnował bardzo i czekał i pasł... Śródwieczarz nadszedł — juczyny nie widać... Obiecali na pewno, jak będzie dobrze pasł. Czekał i czekał, rychło mu wyniesą, a tu nie widać i nie



i nie!... Słoneczko zaszło — cień poza wierchem się schował — robi się wieczór i zmrok... A tu się owce potraciły między jałowcami, poszły daleko, ani ich nie słyhać... Nie słyhać nic... A juczyny nie wynieśli... Nikto nie wyniósł...

— Kto wie, kany te owce? — tróbował się we śnie — Czy na zboże nie poszły? Aniele Stróżu mój! — poczał się modlić... ale wnet urwał, zbaczył sobie, bo pamiętał o tem i we śnie, że mu juczyny nie wynieśli. — Niechta! Niech idą, kany chcą, niech idą...

Cóż to? Z potoka jakieś dzwonki słyhać... Patrzy... Wychodzą jedna za drugą... siwe i czarne i białe jagnięta... Cały ich kerdel... Musiał je kto zająć ze zboża... Ale nie! Prościutko idą uboczą do góry... Prosto ku niemu... Ktoby je tu gnał... Patrzy i widzi i oczom nie wierzy... Sam Stróż Anioł je żenie... Sam Anioł Stróż!

— O ty mój aniele słodki — szepce pocihu — jaki on biały, bielusienki... Jaki on dobry... jaki on strasznie dobry! Jak mu sie tam chciało iść po nie?... I pozganiał wszyściuteńkie i żenie do góry... Może nawet i juczynę niesie... Kto wie! Może i niesie... Jak po obiedzie wyszedł z nieba, to jeszcze sam nie zjadł... Ino kto wie, czy im w niebie juczynę dają?... Może mu jaki drugi anioł wyniósł na odwieczarz juczynę... pewnie jeszcze sam nie zjadł... ni miałby serca sam jeść, skoro bez cały odwieczarz stał koło mnie i widział, jak mi sie cnęło... A może on skądinąd idzie i po drodze idący nawrócił mi owce... Ale juczynę musi przecie mieć... ostało mu i la mnie, bo sam niedużo je... przecie to anioł! Ciekawym, co oni tam w niebie jadają. Ujrzę niezadługo na swoje oczy...

może chlebuś bieluteńki, pachnący bardzo... Żenie już żenie, już jest niedaleko! Jeszcze przez te jałowce... Już wiem, co mi powie... Powie mi tak: „Naści juczynę, boś tak długo czekał... Niech ci sie nie cnie... Weź i jedz“...

Nagle sen prysnął — a on uczuł w strachu wielkim, że go coś porwało za włosy... Ktoś mu nad uchem wrzasnął:

— Tuś mi! psiakrew sobacza...

I dostał znów juczynę, o jakiej nie śnił...



## BŁĄŻKOWA ŁYSINA.

Błażkowej babie nigdy się nie cnęło. Zawdy miała coś do mówienia; gadała też wciąż i bezustanku, bojąc się, by się jej zuchwy nie zastały. Byłaby to najgorsza bieda! Lękała się tego bardzo, najbardziej ze wszystkiego. Wolałaby oślepnąć, wolałaby nie wiem co, żeby jej tylko mowy nie zabrakło, broń Boże... A raz już w chorobie wielkiej, pamięta, o mało, że się jej to nie przytrafiło... Obudziła się rano, patrzy i widzi: zastana Maryna wysypuje oskrobane ziemniaki do garnka, w którym się zwykle świniom gotuje. Chce zawołać na nią po imieniu — nie może... Szczęki się zacięły mocno, jak drzwi na mrozie, i ani rusz... „Bedziesz ta! — pomyślała — to już widać koniec. Amen już, amen!“ Poczęła w sercu lamentować głośno, ale się sama nie słyszała i nikt jej nie słyszał. Ziemniaki będą się warzyć w święskim garnku — nic nie pomoże. Szczęściami diabli nadnieśli Błażka. Wszedł i spojrzął boczawo na wyrek, czy „piekło drzemie, czy śpi...“ Zobaczył oczy, wyłupione ku garnkom, i zęby ścięte w jeden rząd. „Wieczne odpoczywanie!“ — szepnął. — „Wyjmij z półki gromnicę i zaświeć!“ — zwrócił się do Maryny. W te razy baba zerwała się na siedzącko dziwną jakąś mocą, zęby

też same odskoczyły, i wypadło jedno słowo, które się na nich zatrzymało było: „Psiaduszko!“ Błażek zmartwił z radości, że baba ożyła, Maryna musiała zjeść przed śniadaniem niemało diabłów, a Błażkowa już odtąd nie zamykała gęby, lekając się, i słusznie, zamrożenia szczęk.

Słysząc ją było wszędy — w izbie i na osiedlu, poza osiedlem i w całej wsi.

Jak nie miała z kim gadać, gadała ze sobą: ale najbardziej to już lubiała gadać ze starą Łysiną, bo ta wyrozumiała wszystko, co jej kto powiedział, i wszystkiego słuchała z jednakim spokojem, jak zwyczajnie krowina dobrze wychowana na cudzej koniczynie i na cudzem zbożu. Bo swojego nie tknęła nigdy, co jej się chwaliło przy każdym podoju, a nawet częściej, po każdym powrocie do obory.

— Napasła się Łysinka? — mówiła Błażkowa zdobnie, a zawdy z pewnem uszanowaniem, przez trzecią osobę. — Napasła się, teraz będzie nynać... O co Łysinka ryczy? o co? O wodę może, o wodę!... Zaraz, zaraz, my cię tu napoimy... Ino trza poczkać chwilę, malutką chwilusię... Maryna! — wychylała się z obory do sieni. — Czemuś tu, suko, wody nie przyniesła? To ja ci codzień będę przypominać? Nie widzisz, że Łysinka czeka? pić jej się chce... A mleko byś jadła, ty spychaczku dziadowski! Bier konewki zaraz, bo jak pódę...

Maryna, mruczając pocichu, brała konewki obie i szła po wodę dla Łysiny. Łysina piła, obracając wielkie zażawione oczy po oborze. Te oczy zdawały się pytać i odpowiadać — rozumne oczy. Błażkowa już nieraz, patrząc w nie, gdy się jej

zdawały smutne, pytała się: „Co ci to brakuje?“... I wnet znajdowała sama za nią odpowiedź, która trafiała zawdy do krowiego serca, do krowiej chęci. W tych chęciach objawiała się cała jej zwierzęca dusza, wszystkie jej myśli. Ale myśleć musiała, nawet nieźle, skoro się tak z Błażkową dobrze rozumiały. Któżby zaś jej towarzysze zarzucił brak duszy? Więc oczy za nią mówiły zawdy: chcę. Gdy niedość silnie wyrażały jej wolę, pragnienie, wówczas prosiła, jak umiała, rycząc. Mowy tej używała w ostateczności, gdy już w chałupie Błażkowej nie było, bo przy niej to niczego chęciom jej nie zbrakło. Miała wszystkiego (po uszy — trudno powiedzieć, ale) po kolana. Sypiała na ogryzinach, wyżutych ze żłobu. Miętko jej było. Jeden dzień odróżniała w tygodniu — piątek, kiedy Błażkowa poszła do kościoła do świętej spowiedzi i na mszę. Naryczała się wtedy po próżnicy, aż ją zuchwy bolały. Zato popołudnie tego dnia było dla niej świętem. Błażkowa, chcąc jej wynagrodzić postny dopołudni, pasła ją podwójnie i poila słoną wodą, głaszcząc dłonią popadaną jej miękką sierść. Łysina znosiła głaskanie to gwoli jadła, skóra tylko na niej drżała, bo była cliwa.

— Nie dali jeść mojej Łysince, nie dali! — żałowała Błażkowa. — Umorzyłoby chcieli moją Łysinę, wierutne katy!... Czekaście, hycle, dam ja wam na wieczkę suchą miskę oblizać! Będziecie wiedzieć, jak to dobrze mieć próżniuteńki żłób.

Naoscymała jej do ucha, wymyślając przyciem chłopca i Marynę — i Łysina była rada. Tak się przynajmniej Błażkowej zdawało. Doiła ją

zawdy sama, nie mogąc się na nikogo spuścić. Bo też doiła kunsztownie, jak nikt. Tajemnice przytem miała swoje, jeszcze od matki. A pochlebstwami więcej mleka wyciągła, niż krowa mogła dać.

— Widzisz — mówiła do niej — jakaś ty caca... Inszaby już dawno przestała dawać, a Łysinka się doi, nie ustaje. Zato będzie mieć drobniutkie siano za drabinką, jak przyjdzie z pola. Nasza Łysinka, nasza... No, jeszcze kapeczkę! Choć po wyżnie obrączki... Tak.

Miewali czasem i dwie krowy, jak się Błażek na lato wspomógł. Ale do żadnej nie przywykła tak Błażkowa, jak do tej. Bo też od maleńkości ją chowała. Pamięta ją małą cieliczką, zabeczaną, potem jałówką większą, strasznie chytka, a wreszcie krową stateczną już od siedmiu lat. Tamte były i przeszły, sprzedać je musieli ku ziemie, bo chować niezawdy było czem, a ta się jakoś dzierży w chałupie, jak ta komornica, którą się przyjmie do rodziny i trudno ją oddalić, kiedy już „swoja“. Z kimżeby zresztą Błażkowa gadała? Zaczęłoby się jej na piękne, jakby Łysinę czego Boże nie daj, zbrakło w chałupie. Tak jest przecie ozrywka, i jest do kogo czasem uczciwe słowo przemówić, na ten przykład. Bo z ludźmi nie poradzi, nie. Błażkowa dawno z nimi już zerwała. Nawet własnego, rodzzonego chłopca „djabłami“ codzień pasła. To też schudł, jak ten święty Marcin w ołtarzu, co tam stoi od niepamiętnych czasów. Łysina zato była tłusta. Pasła ją sama Błażkowa i wodziła poza płoty, gdzie i którądy, wie sam Bóg, na którego się odwoływała, gdy jej kto niechcący zarzucił szkodę.

— On ta widzi, On patrzy, choć On ta wysoko.

Trudno było fantować szkodę, skoro samo oko Boskie chodziło za Łysiną. Z Błażkową nikt jeszcze rzędu nie doszedł.

— Niech ją tam sądzi sam Bóg — powiadali — skoro to widzi...

Złość wielka na Błażkową i na jej Łysinę ustępowała miejsca niemałej ucieście, gdy je słyszano gadające ze sobą, jak dwie kumoszki.

— Patrzcieno się! — wołano w osiedlu — Błażkowa krowę żenie bez ulicę...

Na to każdy, choć najpilniejszą miał robotę, przypadał do okna — i widać było przez zady-mione szyby stopy głów, mniejszych i większych, układzone na siebie, i roześmiane śniade twarze.

A ona gnała prosto na ugory, nie widząc nic; tak była w sobie zamyślona i zagadana z krową.

— Bolać cię nożeczki, bolać?... Hm... Mocny Bóże! Co ja ci poradzę? I mnie haw niebardzo letko iść, a muszę... Nic nie pomoże! Darma! Tak już trzeba tę biedę nosić po tej ziemi na wieki wieków. Łysinie lepiej niż mnie, bo przecie obuta... Racice się nie zedra... A mnie się kierpce zdarły doznaku i nima za co kupić. Tak. Trzebaby soli nie kupować bez dwa jarmarki. Musiałaby się Łysinka obejść niesłoną wodą. To lepiej niech już ja boskem chodzę. Na wieki wieków! — rzucała na bok, gdy kto idący pochwalił Boga, i gnała dalej na ugory.

— Kanyż ty idziesz? — pytała się Łysinę — tam trawy nima... Szkoda nawet zębów. Wróćno się, wróć!

I Łysina się wracała chętnie i szła powoli przed nią, na popas. Wiedziała, że ją Błażkowa na tłok nie zawiedzie, gdzie ino osty same i skale. Ona tam codzień coś nowego wynajdzie, kany jeszcze nie bywały dawniej. Nie myliło ją przecucie i tego razu.

— Pójdziemy se na miedzę — mówiła Błażkowa — do jednostronki... Tam jeszcze nikt nie wypasł. Trawa, jak to zboże, wysoka. Bedzie Łysinka mieć uciechę, ino trza słuchać, tędy iść, którędy ja powiem, bo tam ciasno. Nie wiem, jako się obie pomieścimy. Pamiętasz? Ale, toś nie ty była, nie ty, ino ta kupna, co my ją przedali łońskiego roku na jadvencie. Uwodziła mię też po tej miedzy, że mię krzyże bez caluteńką zimę bolały. To był smok, nie krowa, judasz cygański! Przedaliśmy ją za to na mięso. Niech ma. Tybyś mnie tak nie ukrzywdziła? Co to przytykać! No, no, nie markość, że cię posadziła niechęcy... Na prawo, tu, koło płotu. Kanyż tam idziesz? Ozgniewała się na piękne, moi mili... Kanyż tam idziesz? powiedz! Udobruchała się przecie, no! Chwalaż Bogu.

Zaszły obie do jednostronki, przelazły przez płot; naprzód Łysina, za nią Błażkowa poganiając.

— Paśże się, paś... Ino zboża nie skub! Skoro trawy masz dość. Usłuchnij, bo ci na złe nie chce.

Ale Łysina słuchała jednym uchem, przyskubując zboża dla omasty, i nie dziw! Sama trawa się przyje, trzaby co ku temu. Przy jednej sperce i kot zdechnie — każdy wie o tem.

— Ludzie się patrzą, bój się Boga — mówiła Błażkowa. — Uważaj na się. I na mnie uwazuj

przecie, bo jak dojrzą, to będzie piekło. Co ja już djabłów skróny ciebie zjadła — to ani, ani... Zawiędłach cię do najpiękniejszej trawy — jeszcze ci mało? Nie wszystko twoje, co oczy widzą. Bo każby się uczciwość podziela? Tak, moja Łysinko, tak. Jak się ma dość wszystkiego i można być uczciwym na świecie — to czemu nie być? Insze, jak bieda zmusza... Mocny Boże! Jak ono też będzie i z nami na tamtym świecie?... Paśże sie, paś... Darmo nie pozieraj ku chałupie, bo jeszcze daleko do południa. Widzisz, kany to słoneczko na niebie, kany to cień... Daremno z tobą gadać, boś nieusłuchliwa.

Gadała jednak wciąż. Łysina jadła trawę, zachwytując zboże, i schodził czas, cień się umniejszał co godzinę, aż wreszcie i południe nadeszło.

— Trzaby gnać... Kto wie, czy Maryna uskrobała ziemniaków na obiad. Ale ba! Zabaczyłach im ostawić kluczy od komory, a mleko tam. No, mogą się raz przepościć. Nie zawadzi. Nie bede im tak dogadzać boby się zwydrzyli na piekne... Paśże sie, paś... O ratunczku! Jak my to starasiły zboże — ale niechta, kiedy nie nasze. Może już pójdziemy do chałupy... Jeszcze ci mało? To jedz, ino mleka nie żałuj! Bo już tak skrupulatnie udzielasz, jak pasierbicy. Wstydziłabyś sie przecie! Na taką paszę, jaką ty masz, inszaby na ten przykład dała ze dwa skopce... Ale „na ten przykład“ mówię, to sie niemasz o co złościć. Paśże sie, paś...

Łysinie się już boki zaokrągliły. Z oszczędności jednak łykała trawę, przegryzioną wpół. Bo kto wie, co jutro może wypaść? Zawdy i na przyszłość trza mieć wzgląd.

Daleko słońce przechyliło się od południa, kiedy Błażkowa gnała krowę nadół w osiedle. Rada była bardzo, że się Łysina tak napasła, aż jej się oczy śmiały zdaleka. Zbaczyła sobie wreszcie, widząc dom, że sama jest bez obiadu.

— A niechta! Łysina się zato napasła.

W chałupie oczekują pewnie i, wygłodniali, pozierają z okna, czy żenie.

— Bedą widzieć na własne oczy, jaka Łysina objedzona. Łysinka nasza łysa... Poco tak lecisz? Ja cię nie dogonię, bo widzisz, skóra sie poodbijała na piętach. Pomałuże, pomału, zaczekaj mnie... Chce ci sie pić? Kto wie, czy ta „suka“ przystroila wody... No, lećże, leć!

Łysina się pośpieszyła, widząc oborę, a Błażkowa szła za nią przez osiedle, kulejąc na obie nogi, na palcach szła. I gadała sobie dalej, co Łysinie miała powiedzieć. Wiecznie gadała. Błażkową była od ślubu, Łysina zaś od urodzenia Błażkowa była. Zdały się ku sobie, jak to mówią, i nie cneło im się razem nigdy, przenigdy.

## WOJTUSIOWE LATO.

### I.

Na stromem zboczu, pod garbem grzbietowym napół wysokości góry (Turbaczyka) wyświeca się z ciemnych wrębów nieduża polana, na północ otwarta, najbliższa wsi — widać też z niej całą dziedzinę, wszystkie osiedla, jak na dłoni.

Na tej polance, niewiada czemu Płoszczaną nazwanej, paśł woły swego ojca Wojtuś, czternaście lato poczynający.

Wygnał wczas rano, jak co dnia. Woły, wygłodniałe przez noc, łakomie strzygły trawę, mokrą jeszcze od rosy, a Wojtuś stał nad niemi, z zadowoleniem pozierał, jak skraja przykładnie szorstkiemi ozorami zawiąły paszę, i rozpatrywał się po świecie.

Rano było pogodne. Słońce już oświecało prawie całą dziedzinę — w uboczy, schylonej pod pać, jeszcze trwał cień. Tem wyraźniej malowały się i przybliżały oczom pasterza: osiedla, w dole leżące, trawniki pod domami, płaty zbóż, lnów, koniczyn, światłem poobsypane.

Wojtuś, pełen krzepkiej w sercu radości, jaką darzy pogodny ranek, wodził oczyma po słonecznej dziedzinie, uważał, jako syn gospodarski,

o ile się zboża zapolały a lny rozkwitły, śledził z zajęciem, gdzie już dymy z nad chałup się rozeszły, a gdzie dopiero na śniadanie pała, gdzie bydło na ugory wygnali, a gdzie dopiero ulicami od chałup wyganiają.

Najczęściej jednak wracał oczami ku jednemu osiedlu. I ani się postrzegł, jak się tu z częstym nawrotem najdował. Najpilniej też ze znaków miarkował, co w osiedlu tem ludzie robią, zwłaszcza w chałupie skraja od ulicy.

— Dym się rozniósł z nad dachu. Musieli pośniadać. To teraz pewnie stroją się do pola...

Obszedł oczami po dziedzinie, postął przy inszych osiedlach, poobzierał się nawet daleko, jak widok się odsłaniał, i znowu wrócił.

— Nie widać jeszcze... Może dopiero śniadają?

Począł odnowa rozpatrywać się po dolinie. Z trawników, nakrapianych żółtymi jaskrami i siwemi pałkami ząbru, przechodził na przybielałe zagony jęczmion i orkiszów, na ciemne płaty koniczyn, na błękitne półka lnów, wędrował głowami nierówno stykających się różnozielonych kawalków, włóczył się dookoła młak i młaczek, miękką porostych trawą, rachował miedze w jednym rzędzie, zatrzymywał się przy kępach, przy każdym spotkanem drzewie, szedł z pasterzami, wyganającymi z jednego osiedla bydło, przez całą wygonną ulicę aż ku pastwisku i bawił wśród nich dłużej, niż zajęcie radziło — wreszcie, miarkując, że już dość czasu stracił, wrócił oczyma ku „swojemu“ osiedlu.

— Czemuż ona nie wygania? — położył się już w niecierpliwem sercu. Całą nakazującą wolę

wział w oczy, wpatrzył się ostro w osiedle i powtórzył parokrotnie, niby zaklęcie mocne:

— Wyżeńże! Wyżeń! Wyżeń!...

Ale zaklęcie nie poskutkowało. Nikt się z chałupy nie ukazał.

Wojtuś już przecie nie oderwał się oczami. Przyczaił się w ulicy, można rzec: przywarował u wyjścia z osiedla i czekał. Postanowił już czekać cierpliwie. Dretniał w ciele, nudził się i niecierpliwił, jakby w rzeczy tam stał koło płotu.

Minęła chwila jedna — druga — czas dłuższy mu się niepomiernie. Nareszcie!... Z osiedla, jak dwa światła, wyszły tyse woły — za nimi Kasia...

Poznał ją zdaleka i aż drgnął cały z radośnego wzruszenia. Przywarł odrazu oczami do jasnej jej postaci i prowadził ją przez całą ulicę i dalszą wygonną drogę aż ku stokom, póki jej schylenie lesiste wraz z wołmi nie przesłoniło.

Teraz począł w niecierpliwości serca i oczu pacierzami rachować, rychło się z wołmi we wrębie ukaze. Miał już odrachowaną miarę (nieraz ją sprawdzał!), wiedział też, że Kasia musi gnać jedyną drogą wrębem poprzez ubocz, bliska, bo jeno potokiem dzieloną, i schyloną ku stronie, na której on stał z wołmi.

Szepecąc „Zdrowaś Marja“ i odliczając zmówione na palcach, modlił się zarazem gorąco o łaskę ujrzenia Kasi. Do Matki Boskiej miał zaufanie zupełne, większe, niż do własnej matki. Zwierzał się Jej ze wszystkim. Ona też nie odmawiała nigdy jego prośbom.

Niezadługo na przechyleniu zaświeciły białe czoła wołów (jak on je kochał! jak im rad był zawsze!). Wychyliły się wnet całe, czerwone

i okazałe, a za nimi w zapasce czerwonej, w chustce niebieskiej — Kasia...

Wojtuś wiernymi oczami przypadł ku niej i już jej nie odstąpił. Wierzył, że musi widzieć abo czuć te jego oczy z oddali, tak strasznie przyślužebne. Modlił się ku niej całe nieznaną mową, która niewiada skąd się rodziła. I patrzył — patrzył — już nie oczami, ale duszą. Czuł, jak krew odeszła mu z twarzy, jak serce nierówno się tłucze, jak nogi słabnieją pod nim — nie oderwałby przecie oczu, choćby omgłed padło.

A Kasia gnała woły zakosami, przegibując się i mieniąc barwami stroju. Zdawało mu się, że często zwraca twarz jasną ku niemu, że nawet patrzy z utęsknieniem ku Płoszczanie. Nie przysięgłby na to przecie, bo mgłą i łzami zachodziły mu źrenice. W połowie zbocza, naprzeciw prawie, rozwidła głos i zaśpiewała:

„Kalina sie kali  
W kalinowym lesie —  
Siwy koń, siwy koń  
Siodelecko niesie...“

Zadzwęczało przeczyście po wrębie — po lesie — i poniosło się dołu... A Wojtusiowi jakby sto ptaków rajskich zadzwoniło. Osłabł doznaku sercem. Już męką patrzył na nią, gdy podnosiła się z wołmi — ku wierchu. Stamtąd, już z góry, puściła rozwodny głos w dolinę:

„Ka sie popodziały —  
Co ładnie śpiewały?  
Powydawały sie —  
Pozabacowały...“

I gasła zwolna w gibrzynach wysokich. Czasem chustka jej mignęła jeszcze z poza smarczów, jak skrawek nieba — hań u wierchu.

Wojtusiowi zdało się, że dzień się chmurzy, że słońko zachodzi. I wreszcie tam — za wierchem — zaszło jego słońko, radość oczu. Wnetby był płakał. Bezwiednie prawie zajął woły i gnać je począł ku wierchowi. Nieodparcie ciągnęło go coś za nią.

Osatał się dopiero na wyżniej polance. Przypomniał sobie, jak mu ojciec ostro przykazał, aby się z Płoszczany nie ruszał z wołami, aby nie gnał za wierch ku pasterzom.

— Pamiętaj, żebyś mi się krokiem z polanki nie ruszył. Tu se paś, tu trawa jest, to się woły najedzą. Tam ino figle z pasterzami, bezceństwa, a woły, zganiane w jedno miejsce, ino się rogami sermują.

Raz nie posłuchał, pognął z pasterzami, i o mało że paskiem nie dostał wieczerzy. Wtedy jeszcze miał na obronę to, że słota trwała, zimno było, a tam pasterze w kolebach palili — bo tego, że mu się samemu cnęło paść, ojciec nie chciał wziąć nijak na uwagę.

Cóżby teraz powiedział? Jakby się usprawiedliwił? Dzień pogodny, słoneczny, aż powietrze drga — trawy dla wołów nie brak... Świat widno dookoła — ludzi pełno po polach — wesoło... Tak ojcu może się przedstawiać. Nieraz, jak się Wojtuś skarżył przed nim, że mu się cnie samemu, powiadał:

— Jaby se za raj uważał, jakbych mógł tak ślebobnie przy wołach wypocząć. Cóż ci sie tam dzieje? Widok masz — głód ci nie dokucza —

a żeś sam... Ho! ho! dziecko! Chciałbyś ty kiedyś sam pobyc — jak ci ludzie dopieka...

A powie ojcu, że go coś gwałtem za wierch ku pasterzom ciągnęło? — Tego ojciec nie pojmie. Pocznie się wypytywać, jak sędzia surowy: „Jak? co? gadaj tu zaraz! Figle pewnie i lekomyślnictwa?“

A Bóg świadkiem, Stróż Anioł, co go na krok nie odstepuje, i Matka Boska, która w jego serce czyste patrzy, że o nic mu innego nie idzie, ino o to, żeby na Kasie patrzeć choć zdaleka i słyszeć jej śmiech dźwięczny... Ale tego ojcu by nie zdradził, za nic w świecie! Raczejby wolał, żeby go o najgorsze posądzał...

To rozważywszy w myśli, zawrócił woły i z ciężkim sercem zegnał je nazad na Płoszanę.

Przywitała go nuda znajomego aże nadto niejsca. Ta polanka, która wydawała mu się kątkiem raj, kiedy pierwszy raz na nią wygnał woły, teraz wydała mu się jak więzienny plac, murem ojcowskiego zakazu otoczony. Miał swobodę, a nie miał.

Ten poniewolny przymus ciążył mu srodzej, niż najprzykrzejsza słota. Gorzył się w sercu i na ojca i na to, że musi sam paść i że nie jest panem swoim — wszystko go gniewało, na co pojrzał — na jedne woły pozierał z miłością: widział, że one jedne rozumieją jego strapienie serdeczne, i co chwila obracają ku niemu swoje dobre, wilgotne, współczujące oczy.

Zajął je i podegnał ku większej trawie na skraj wrębu. Niechajże se użyją za to przywiązanie. Nawetby im trawy w sadzie nie żałował.



A sam dalej gryzł gorycz przymusu. Jak pomyślał, że cały dzień, aż do wieczora tak tu musi po tej polance znajomej z wołmi samo-we-trój swiać, to ażę lzy mu w oczach świdrowały. Ledwo że się opanował i że płaczem szczerym nie wybuchnął.

O nic mu nie szło — tyle dni dawniej sam tu spędzał w swobodzie serca, śpiewający, i ani mu się nie zaczęło — ino, że Kasia tam pognąła, a on tu musi paść... Jaka to niesprawiedliwość!

Od czasu, jak ją ujrzał w uboczy, gnająca za wierch, poczęła się ta jego męka... Leciała za nią myśl sama, ani jej wołą powstrzymać — jak i oczy, urokiem nieprzepartym rwane...

„Kiedych cie uwidział  
W zielonej ubocy —  
Hej!... zamilowały się  
W tobie moje ocy...”

Zanucił sobie cichutko samemu, i jeszcze smutniej mu się uczyniło.

Słońce wyszło ponad wierch i oświeciło zbocze. Zapaliły się we wrębie różowe pola zakwitłej gibrzyny, wszeleniejakie trawy podniosły się jakoby ze ziemi, każda swoistą ożywiona krasą, że różność była w strojach jak w weselu; z wierzchołków, wieńcami w skrajach wrębu lub po polankach kępami stojących smreczków, poczęło się światło siać na niższe rozczapierzone gałęzie i odstające gałązki, padając na odstonięte pnie, na ziemię — z ozłoconych szpilek; cud się dokoła czynił.

A Wojtusiowi nic to wesela w serce nie przydało — gdy dawniej radośnie witał nigdy nie-

spowszedniały cud słońca. Patrzył, bo patrzył, ale jakoby w śpiączce, a cały myślą stał za wierchem — tam mu słońce grało, tam świat mu się uśmiechał...

— Co to w tem?... — stawił sobie pytanie, osatawszy się nieco. — Czy urok?

Nie wierzył jednak w uroki. Coś przecie musi być. Spodziewał się już tego oddawna. Tęsknił za tem. Tyle tęsknoty, westchnieniami, śpiewem w powietrze posyłanej... Aże ją ujrzał... w tej uboczy... Dlaczego wtedy?

Znał ją przecie oddawna. Jakże — strykowa Kasia... Ojciec jej w rzeczy nie był jego strykiem, ale tak go już zmała nazywał, jak nazywał chrzesny-ojcami wszystkich na osiedlu gazdów.

Kasia była dużo od niego starsza, cosi o lat dziesięć, albo więcej. Temu też równą mu się zdała: — zrozumie jego tę wielką tęsknotę... Na rówieśne dziewczęta albo młodsze nie zwracał uwagi, jako na głupie jeszcze, nierozumiejące. W niej zaś wszystko było mądre: te oczy — niebo samo, te włosy, jak pasma z promieni słońka, ta chustka nawet (taka powinna być). A najmądrzejszym był jej uśmiech, już nie do opisania! Kiedy się śmiała, świat cały musiał się cieszyć. I w tem ta mądrość była, że radością, weselem, szczęściem, rajem niewoliła świat...

Wojtuś wierzył, że niemądrość w niej miejsca mieć nie może. I niemasz w niej grzechu, ni najmniejszego błędu. Wszystko najdoskonalsze. I jak ktoś śmiałyby jej uwagi czynić, słowem obrażać, kiedy ona naokoło obdarza — śmiechem samym, spojrzaniem. I jest w niej coś — niewiadome —

ku czemu tęsknota, z dna serca oderwana, z głębin najtajniejszej, wyrывa się...

W chłopięcem śnieniu o kobiecie znajdującemu się — zjawiała się w uboczy — i poszły za nią oczy jego... Odtąd już jeno czekał tych chwil, kiedy woły wygania, by ją zdaleka widzieć. Och, gdyby cały dzień gnała przez tę ubocz! Ale jeno chwilkę — i zachodzi... Zachodzi za wierch codzień z rana... A dzień taki długi! Nieporada się wieczora doczekać. Oto jest cnienie prawdziwe, jakiego dawniej nie zaznał.

Chcąc bronić się przed tem gniołącym uczuciem, zażywał różnych sposobów: dzielił dzień podług posuwania się cienia słońca, jak podług wskazówek zegara, na małe i mniejsze kwadry, i wypełniał je najrozmaiciej, jak mu jeno prze-myślność poddała. Najgorzej mu się było ocknać, gdy ją tracił z oczu. Potem już świat żywy i myśli nadpływające łacniej zajmowały głowę.

Tak i teraz. Ledwo osatał się w sobie. Rozpatrzył się po świecie, jak z ciężkiego snu zbudzony. Widząc, że ma dzień przed sobą, bo dopiero śródpołudni był, zaczął się namyślać, co z telim czasem zrobić...

Postanowił obejść z wołmi dokoła polanę, trzymając się cienia, aby woły mogły się paść. W dniu upalnym najczęściej tak robił. Każdy przykładowy pasterz nie postąpiłby inaczej.

Przywrócił przeto woły ku krajowi i pomykał się za nimi w miarę, jak się pasęcy posuwały. Starał się nie myśleć o niczem, jeno o tem, by woły się napasły, nim upał się wzmoże: bowiem wtedy ślepcie i baki najzjadlej tną, woły jeno

w las patrzeć, gzią się za każdym bzyknięciem, i ani gwary o pasieniu.

Pozierał przytem w stronę swojego osiedla, choć nie widno go było: pagór zasłaniał. Spodziewał się, że ojciec wyrzy, obaczy i będzie rad, że on tak przykładowie pasie. Tem większego zaufania nabierze do jego pasterskiej cnoty, nie będzie już tak dawał poziuru, zwłaszcza, jak roboty przyjdą, i może uda mu się w który dzień niepostrzeżenie przegnać woły za wierch.

Ale ojciec od chałup nie wyrzwał. Zapewne wyrzwałby akurat wtedy, jakby Wojtuś pognał ku pasterzom. Złe bowiem wtedy się trafia, jak się go najbardziej nie chce.

Wojtuś zabobonnym był, wierzył w różne złe i tajne moce. Aby je unieszkodliwić, nie opuszczał rano i wieczór pacierza, żegnał się przed każdym przedsięwzięciem, a po śniadaniu, nim wygnał, kiedy woły z obory wypuszczono, gotowy do wygnania, z biczyskiem w rękę wpadał do izdebki i przed obrazem Matki Boskiej zmówił zawsze „Zdrowaś Marja“.

I był na dzień, jaki bądź przyjdzie, spokojny. Pewnym był w sercu, że mu się nic nie może stać złego.

Ten obraz najbardziej ze wszystkich lubiał. Święta Barbara, co nad oknem wisiała, zdawała mu się jakąś wielką panią, święta Katarzyna znowu wolowata, święty Franciszek zaś całkiem był podobny do braciszka, co po kweście chadzał i tabakę co chwila do nosa zapychał. A Matka Boska na tym obrazie tak była ślicznie udana, że aż serce tajało na jej widok. Wysmukła była i w niebieskiej sukni, białą wstęgą przepasana,

stała stopkami na okrągłej ziemi, a u stópek jej wił się smok — trzymała na lewem ręku małego Panajezusa, który miał znowu w ręce krzyżyk, o długiej bardzo lasce, ostro zakończony — tę laskę ze swawolnym uśmiechem wbijał w oko smoka. Ale to jeszcze nic. Najcudniejsza ze wszystkiego była twarz Matki Boskiej, tak piękna, jakiej na ziemi Wojtuś nie przypuszczał, wierzył, że z nieba być na pewno musi — i oczy, takie dobre i tak patrzące prosto w serce, że nic-byś już przed niemi nie skrył. I gdzie się obrócił, to patrzyła za tobą. Te oczy Wojtuś wszędzie na sobie czuł. Tym oczom oddawał się w opiekę. Wiedział, że go wszędzie będą strzec i chronić od nieszczęścia.

Raz doznał na sobie ich cudu... Było to przed paru rokami w sierpniu. Już na polanach trawy posiekli, i tam miał Wojtuś gnać. Jak zwyczajnie codzień z rana, zebrał się, wypuścił woły i wbiegł do izdebki na „Zdrowaś Maria“. Potem zajął woły i pognał.

Dzień był posepny, szary, w uboczu mgła leżała. Wojtuś, że to smutno mu było w sercu przy takiej pogodzie, przygwizdywał sobie drogą i nucił różne śpiewki, ale skoro wygnał do uboczy i z polany najbliższej słyszał już pasterzy, (przez mgłę ich dojrzeć nie mógł) postanowił gnać cicho, aby tem większa uciecha była, jak go ujrzą.

Woły szły drogą w parze, powrozem za rogi powiązane, aby się nie rozchodziły, a Wojtuś pobok nich, krajem drogi. Las wtedy niedawno ścięto w tej uboczy, popode drogę pełno było złomów, gałęzi i zajazienia. Gdzieś tam w górze,

przy wierchu ktoś tłukł się — słyhać było odgłosy drągów i fól: spychano docięte drzewa. Widzieć nic się nie dało, bo mgła leżała do ziemi.

Wojtuś prawie gnał woły zakrętem pod najbardziej stromem schyleniem uboczy. Nade drogą rozeznał przez mgłę kupę zepchniętych drzew, ze skóry ołupionych, napoprzek leżących nad dwoma pniami. Naraz usłyszał w górze w uboczy dudnienie — za chwilę przeciągłe: „Waruj!“ Potem głośnie już dudnienie. Pojrzał do góry i zmiertwiał. Obaczył we mgle, podskakujące wysoko nad ziemią napoprzek pędzące drzewo... Prosto na niego... Wiedział, że kupę drzew przeskoczy — na drogę spadnie... Ale już ani czasu do ratunku. Wiedział, że zginąć musi. Jeden moment. I w pół tego momentu, jak ptak przelatujący poprzec oczu, migło mu życie całe od kolebki... W drugim mgnieniu — jedna myśl — polecenie się w opiekę: — „Marjo!...“

Co się z nim stało potem, nijak nie może przybaczyć. Musiał jednak ostatkiem przytomności krzyknąć i skoczył strasznie wdół. Albo też siła go jakaś odniosła... Bo pasterze, skoro usłyszeli krzyk jego i przybiegli co tchu, znaleźli go w łonach pode drogą — mocno skaleczonego po twarzy i rękach, ale zdrowego w ciele. Drzewo padło na drogę w to miejsce, gdzie stał, wołu jednego skwasiło na piękne, a drugiego poraniło... Tych wołów strasznie mu było żal potem, jak się obaczył.

Pozierał teraz na tę ubocz — ku temu miejscu nieszczęsnemu — tam bowiem najwyraźniej i najdokładniej cień oznaczał czas, jako że to schylenie było ku północy. A po cieniu miarkował

godziny. Widział, że już nadchodzi południe: cień prosto nadół padał.

Z wołmi obszedł dopiero pół polanki. Woły też, czując czas przypołudnia, poczęły postawać i już nie miały woli się paść. Zajął je i popędził ku studziencie, którą sam był rękami wyrobił. Naprzód sam się napił, a potem je po jednemu napoił. Z lubością patrzył na nie, jak, wypragnione, piły i nozdrzami oddmuchiwały suche liście buczyny, spadłe na powierzchnię. Czuł dla nich przyjaźń serdeczną, rozumiał je, miał czas je poznać, bo już od kilku lat je pasał; widział ich rozum, dobroć, przywiązanie, a nawet odwagę. Często stawało mu w pamięci zdarzenie, które go najbardziej z niemi sprzyjało.

Pasał w jedno lato z pasterzami, już po skoszeniu łąk — na spalonym. A że to daleko było, nocowywał tam z wołmi w kolebie, albo woły zawierał do koszar z inszemi, a sam z towarzyszami schodził po żywność do domu.

Na jedną noc ojciec kazał mu woły zająć do chałupy, bo na drugi dzień mieli zwozić z pola. Zbiórki były.

Więc pod wieczór odłączył je od innych i pognał. Zmrok już był gęsty, kiedy przygnał na Turbaczyk. Z Turbaczyka droga wiodła na polanę niższą, siodłem grzbietowem przez las — jeszcze wonczas niewycięty. Skoro więc w ten las zegnal i już był w polowie, usłyszał raptem tupot i trzask gałęzi przed sobą. W ciemności dojrzeć nie mógł — ale zaraz z odgłosu poznał, że dzik przepędził poprzód woły. Zmiertwiał ze strachu.

W te razy jak się jeden wół, Kwiaton, puścił w las nadół po uboczy — to ino dudnienie straszne było słyhać i trzask łamanych złomów — tak gnał za dzikiem ku roztoce...

Wojtuś popędził drugiego, który został, i wyszedł z nim na polanę. Tu na otwartem miejscu w brzasku od zorzy zachodu zatrzymali się.

Wtedy tamten na dole zaryczał — a ten mu rykiem odpowiedział.

Za chwilę dość niemalą wyszedł z kraju lasu Kwiaton, ciężko dyszący. Radośnie przywitani się. I Wojtuś je zająwszy, pognał.

Odtań byłby z niemi puścił się do najdalszej roztoki — po nocy — o każdym czasie — pewniejszym przy nich się czuł, niż przy dwóch śmiałych towarzyszach.

Dbał też o nie. Nieraz im pokryjomu przed ojcem siana za drabinę nakładł, soli podał, a biczka nigdy nie ośmielił się na nie podnieść. Gdy raz ojciec, nagniewany, pobił Kwiatonia, to płakał ze żalu.

Więc napoiwszy je dosyta, zajął je i podegnał do cienia ku gęstwinie smreczków, aby im baki nie tak dokuczały.

Woły, napasione i napojone, poległy zaraz, ciężko postępując, i poczęły żwiewać. A Wojtuś dumał teraz, co ma ze sobą począć. Południe — trzebaby jaki obiad ustroić — miał ze sobą ziemniaki do pieczenia, ale, że upał był, nie chciało mu się parzyć przy ogniu. Wolał już nie obiadować.

Przyszło mu na myśl, że w Groniu, nad polanką widział kiedyś agrest leśny. Jeszcze zielony był. Nateraz może już dojrzał.

Poszedł wrębem ku górze i wyspinał się po skałach i kłodach butwiejących aż pod sam wierch.

Znalazł więcej, niż się spodziewał, bo prócz agrestu jeszcze parę krzaków porzeczek leśnych. Cierpkie były — ale w tym wieku smak nie przebiera.

Rwał kosmate owoce agrestu i czerwone jagody porzeczek i wysysał z nich smaki łakomie. Dumał jeszcze urwać ponadto i zanieść bratom młodszym do chałupy.

Naraz odskoczył z przestraczem: obaczył koło krzaka czarną z łańcuszkiem na grzbiecie żmiję, wyciągającą ku niemu pyszczek z widelkowatym języczkiem.

Już go odeszła ochota na agrest. Zabrał się z powrotem i zeszedł nadół, ku polance.

Woły jeszcze żwiewowały. Więc położył się opodal w cieniu i odpoczywał.

Słońce przechyliło się z południa — upał w powietrzu był wielki, tak, iż go włada w członkach odchodziła.

Leżąc nawznak na trawie, przymknął znużone światłem oczy i dumał, że uśnie na chwilę. Ale wyobraźnia nosiła go, jak piórko lekkie, wiatrem porywane. Najczęściej zalatywał za wierch — na polany. Widział pasterzy, baraszkujących w skwarze przypołudnia, i Kasię wśród nich jak słońko rozsmianą, darzącą szczęściem każdego, kto się w bliskości jej miał łaskę znaleźć. Żywo stanęła mu na oczach. Zdało mu się, że znajduje się ciałem tam między pasterzami i patrzy w nią, a błogość serce mu przepelnia. Śmiała mu się twarz cała, jakby istnie tam był.

Bał się myślą oderwać, aby nie stracić tej rozkosznej złudy. Tu się prawie że nie czuł — całą uwagę tam przeniósł, chcąc jak najwięcej rzeczywistości wydobyć z marzenia. Wodził się z pasterzami rówieśnymi, starszym docinał ukąśliwemi słowami, a co chwila twarz ku niej obracał, po dary oczu i uśmiechów.

I tak się w tem marzeniu zapomniał, iż ani spostrzegł, jak czas ubiegł. Ocknął się dopiero, skoro uczuł w bliskości sapanie i gorący oddech wołu na twarzy. Kwiatów, widząc go już tak długo bez poruszenia leżącego, przyszedł zaniepokojony obaczyć, co mu się stało.

Wojtuś ze zdziwieniem zmiarkował po słońcu, że już śródwieczerz. Zdawało mu się, że chwilę jeno tam za wierchem bawił. Ze smutkiem stwierdził, że to ino złudzenie było, nie istność. Ale choć z tego rad był, że sporo dnia tymczasem ubyło, i że już prędzej do wieczora zjejdzie.

Popędził woły na środek polanki, bo już upału nie było się co obawiać. Usiadł wyżej nad niemi i rozglądał się po świecie.

Teraz cała dziedzina, rozłożona w dole, która rano radosną krzepkością jaśniała, była — rzecz można — objęta sennem zleniwieniem, zrozumiałem po skwarze południa; lecz już chłodny cień odwieczora trzeźwił ją i przywracał krzepką żywość polom. W wyrazie jej jednak miast radości przebijała się poprzez rumieńce powaga, która szerzyła się zczasem i rosła w surowość, im bliżej zdawał się, po lasach jeszcze z mrokami przygarbionemi sunący, wieczorny chłód.

Powaga pół wieczorna udzieliła się i myślom Wojtusia. Popadł w zadumę — w odczucia nie-

jasne, nieokreślone słowami. Wstawała w nim — jak już nieraz — tęsknota za czemś, co gdzieś jest — być musi — inne, a rzeczywistsze, niż wszystko, co dotąd na ziemi poznał. Serce mu o tem szeptało. W chwilach podobnie świętych wsłuchiwał się w ten szept, ale było to jakby nieme tykanie zegara o wieczności. Nie mógł ani na włos zmiarkować. Czuł jeno, że w tych niemych znakach zakłęta jakaś wieść o skarbie, którego nawet pojąć: życiem-li, czy zatrąta dla tego, kto go znajdzie? I stąd trwoga, a zarazem ciekawość większa od trwogi — nieraz prawdziwą tęsknotą wstająca... Musi coś być — dumal — ku czemu straszną miał wolę. I dziw — przeczuwał, pewnym był w przeczuciu, że dojdzie — dojsć musi! Ani cieniem niewiary nie wąpił. Dróg nie znał. Jedno wiedział: że musi przejść przez „świat“.

Teraz oto, idąc za spadem wód ku północy, oparł wzrok o ostatnie, w srodozde słonecznej tonące góry. Potąd, po widnokrag znalazł oczyma kraj. Dalej myślą wybiegał na pola — i niewiadomo, czy pola — nieznane. Czuł, że tam jest ten „świat“. Miał o nim bardzo niejasne pojęcie. Słyszał, że ludzie idą „we świat“, wracają „ze świata“. Nie wiedział jak się tam dostać, jakim cudem — ale ani chwili nie zawąpił, że może do tego „świata“ nie dojsć. Więcej — wierzył, że cały ten „świat“ nieznanym przejdzie. Tak mu szeptała tęsknota.

Światła, bijące z zachodu, pociągnęły ku sobie wzrok Wojtusia. Z radosnem zdziwieniem ujrzal, jak mu chwile odwieczerza przedko zleciały. Słonko stało już nad Babią Górą i poczęło się zaczer-

wieniać. Cuda przedziwne były, gdy zaszło za smugę mgły. Oto rąbek chmurki zapalił się szczerem, przejaśnie świecaćem złotem, a ku ziemi wystrzeliły z poza niej świetliste miotły i rozpuściły pył słoneczny po dolinach. Trwało tak chwilę.

Wojtusiowi tej radości jeszcze brak było, że nikomu nie mógł tego zjawiska pokazać, że sam się ino temu cudował oczami.

Wreszcie promienie poczęły się tracić, ognie na brzeżkach chmurki gasły — słońce wychyliło się, ale już mocno czerwone, i widziało się większe, a tak obrane z blasku, że można było czytać w nie patrzeć.

Patrzył też w nie Wojtuś, a co na ziemi wzrok przeniósł, to wszędzie widział słońca, jeno różne: czerwone, żółte, zielone, liljowe... Bawił się niemi, jak dziecko szkiełkami.

Niezadługo słońce sparło się już na krawędzi ziemi. I wyglądało jak ognista kula, której od dołu zaczęło ubywać... Wnet stało się, jak ognista kopuła... Potem, jak ognisko na widnokregu... I zaszło.

— Szkoda... — pomyślał Wojtuś, zapominając, jak pragnął wieczora.

Wieczór nadszedł. Zewsząd, jak drozdy na wiosnę, poczęli się odzywać pasterze bydła, śpiewając rozmaitemi głosami tęsknoty i radości swoje. Ożywiły się podleśne pastwiska. Jeno w uboczu było cicho. Tu nikt prócz Wojtusia nie pasł. Woly wszystkie pasły się za wierchem.

Wojtuś zaś jakby głos stracił. Poco — myślał — mam śpiewać, kiedy Kasia i tak nie usłyszy... Z wieczorem wróciła tęsknota ku niej. Patrzył ku wierchowi, czy się nie ukaże, choć

wiedział dobrze, że przecie jeszcze nie może gnać o tym czasie. Zazwyczaj woły zganiano już w ciemną noc.

Wojtuś miał przykazane, aby do nocy nie dobywał, ale nie śpieszno mu było zabrać się, choć tak wieczora wyglądał. Pasterze z pastwisk pozajmowali bydło, poucizalo się, mroczno już było — a on jeszcze z wołami na Płoszczanie marudził. W ubocz pozieiał co chwila, czy się nie ukaże. Już i droga we wrębie poczęła ginać w mroku, a on wzrok wpijał aż do bólu... Zdało mu się czasem, że się ktoś tam rusza — idzie... pewnie żenie!... Aż serce mu skakało ze wzruszenia. Wpatrzył się mocniej — a to pniak... Tak go zwodziło kiela razy. Wreszcie pomroka zakryła ubocz doznaku.

Rozglądnał się za wołami. Stały razem, obok siebie, oczekujące, nudzące się, szyję na szyi pokładające. Cóż miał robić! Zajął je z ciężkiem sercem i pognał do domu.

## II.

Tak zeszedł Wojtusiowi dzień jeden. Takich podobnych dni miał wiele w tem lecie. Nie zawdy jednak słońce i obrazy dalekie zaślaniały mu tęsknotę serca. Miał dni ciężkie posepności, gdy mgły skryły niebo, dni smutku, dni szarej nudy... Miał też i dni strachu.

W jeden odwieczery, gdy po południu upalnym słońcem zaczęło mżyć, Wojtuś, jako znający się już nieco na oznakach zmian powietrznych, rozglądnał się po stronach, by zmiarkować, skąd co pogodzie zagraża, i obaczył na północy nad samym widnokregiem ledwo uznany, czarny pas... Ten pas począł się nieznacznie rozszerzać i za chwilę urósł już w dość sporą chmurę. Tem się różniła od innych, z za widnokregu wychodzących chmur, iż równa była od wierzchniej krawędzi, jakby ją kto pod linię obstrzygł, i rozciągała się na całą długość północnego nieba. Barwą też nie przypominała widzianych chmur, bo była cała jednolicie czarna, nawet obrzeża nie różniły się od środka. Jedno powietrzne oddalenie łagodziło tę jej czarność i szarością ją, jako przesłoną lekką, zawłóczyło.

Wojtuś przypatrzył się jej ciekawie i, co jąkąś chwilę czem inszem pobawił oczy, znowu ku

niej powracał. Niepokoił go jej wyraz. Bo żeby choć lyskało się w niej, abo grzmiało...

Burzę on już niejedną przeżył. I trudno chyba o gorszą biedę, jaka mu się przydarzyła przed kilku rokami. Pasł woły na odległej polanie. Na noc miał woły zostawić, a sam do domu przyjść. Skoro je pod wieczór do koszara zawierał, usłyszał w chmurach od zachodu pomruki głuche. Nie zważał na to i poszedł — zdawało mu się, że zejdzie z gór, nim się chmury oddalne przywleka. Ale burza krokami milowemi stapała. Zastała go jeszcze na wierchach. I przyniosła z sobą taką noc, że ani ziemi pod stopami uznać. Wojtuś też drogę stracił i szedł instynktem przez ubocz. Co się lysnęło, to parę kroków stąpił. Zresztą szedł poomacku, na domysł. Pioruny były co chwila — ogień się snuł przeraźny — raz jednę roztrzaskało blisko — widziało mu się, że nie ujdzie żyw. Zmówił wszystkie pacierze, jakie umiał — wreszcie zdrętwiał doznaku i szedł naślepo — bez pamięci. Kieło razy przepadł przez łąmy, stoczył się — ani zrachować. Osatał się dopiero, gdy równinę uczuł pod nogami. Burza też mijała. W brzasku od smugi jasnej, przetartej na zachodzie, dojrzał znajome podleśne osiedle. Po północy już było, gdy doszedł do domu. Matka nie spała — modliła się, strwożona w sercu o niego.

Więc Wojtuś burzy się nie bał. Jeno niepokoiło go nieznanie: co w tej chmurze dziwacznej może się znajdować?

— Chmura gradowa — dumiał — inakszy ma wygląd. Jest rdzawa, abo ceglasta, i górą się niesie, wysoko ponad ziemią. Szum od niej już zdaleka

słychać. Siota też w taki sposób nie nadchodzi. Bo naprzód lecą oderwane mgły, jako posłańce... A tu nic z tego wszystkiego.

Przybliżała się jak potwór czarny — bez kształtu jak noc... Już zatopiła góry widnokregu i sunęła wyraźnie w tę stronę... Wojtuś już ani na chwilę nie odrywał od niej oczu. I coraz bardziej się trwożył. Nigdy jeszcze nic podobnego nie widział.

Skoro już zatopiła dolinę Raby i bliższe pagóry, Wojtuś wyraźnie zauważył, że ma kształt czarnej, prostopadłej ściany... równej i przeogromnej, od wschodu do zachodu... I cicho sunie, jak noc.

Strach go objął. Popatrzał po wsi — i widział, że wszystko, co żywe, równie się strwożyło. Ludzie, pracujący zdala od osiedli, bieżeli wartko ku swoim chałupom, pasterze zajmowali bydło z pastwisk i z pośpiechem gnali ulicami... Podobnie jak przed burzą. Wszyscy widzieli zbliżającą się czarną noc, ale że byli na dole, w kotlinie, nie mogli widzieć tak wyraźnie, jak on.

Pomyślał w strachu, czy nie zająć wołów i nie pognać do chałupy. Ale wnet pomiarkował, że za późno. Spotkałoby go na drodze — to już niech raczej tu go spotka, co ma spotkać. Tu chociaż krzaki są... Obejrzał się za schronieniem. Nic przecie nie wiedział, przed czem ma się chronić i jak... Co za tą ścianą, czy deszcz, czy...

— Cóżby inszego być mogło? — pocieszał się. Ale strach mu podszeptował przypuszczenia najgorsze.

Oczyma strwożonemi śledził ruch sunącej ściany — i lęk w sercu jego wstawał... Nie wie-



rzył, żeby tak chmura szła... To idzie coś okropnego...

— Czy może to... koniec świata? — pomyślał z dygotem serca.

A ścianą sunącą noc zatapiała już dziedziny w dole. Na co zaszła — traciło się doszczętnie. Widziało się, że ta ściana miażdży i chłonie, co napotka.

Teraz zbliżała się szybko. Wojtuś z przerażeniem obaczył ją już naprzeciw — blisko... Niby okrutne widmo śmierci. Pomyślał w mgnieniu jednym z jakąś żalością poddaną, czemu nie są razem z Kasią... Czuł, żeby się łatwiej poddał, co bądź przyjdzie... Teraz ogarnął go lęk nad lęki. Padł na ziemię kolanami i począł mówić pacierz z wiarą przedśmiertną, gorącą...

Ocknął się w nocy zimnej — we mgle tak gęstej, że krzaków bliskich nie mógł dojrzeć. Mgła, pełna mroźnych igiełek, pędziła szybko z północy.



### III.

Nareszcie doczekał się Wojtuś dni marzonych, do których przez tyle czasu tęsknotą wybiegał. Na polanach rozpoczęły się sianokosy.

W dzień Matki Boskiej Zielnej pierwszy raz w tem lecie pozwolił mu ojciec pognać woły za wierch.

Z jakąż radością tajoną zbierał się! Już o świcie wstał, przygotował se nowe kierpce, onucki białe, koszulę cienką, chazukę wyszywaną i kapelusz ze wstążką czerwoną. Dzień się pogodny zapowiadał, to matka nie broniła mu odświętnego wdziania. Wystroił się, jak za družbę.

Śniadania mało co tknął, ino placka wziął kawalek, gruszek-kiermasznic wsypał do rękawa i pognał śpieszno.

Przygwizdując sobie wesoło, gnał ku uboczy drogą, którą Kasia codziennie ganiała. Już to samo, że tą stroną gnał, radowało go nad miarę.

Gdy był z wołami na wysokości Płoszczany naprzeciw — zaśpiewał ku niej wesoło:

„Hej! Płoscano, Płoscano,  
Zieleń-ze się, zieleń —  
Bedzie pasał na tobie  
Swoje siutki jeleń...“

I gnał w górę ku wierchowi, a co chwila obzierał się nadół, czy Kasia nie żenie. Świat mu

się poniżył w dole. Dość spore góry widziały się mu stąd pagórkami, a pagóry okrągłe — ledwoznacznie wzniesieniami. Jakby po schodach wstępował ku niebu, tak mu się ziemia w niżynie ścieliła...

Skoro z wołami przechylił się za wierch, dopiero radość pełną naszedł! Otworzył się mu jakby inszy kraj — kraj niezmaconej swobody.

Na polanach rozwlekłych, wieńcami buczyny młodej okolonych i rzadkimi kępami smreczków jak i jedlic, widniały długie pokosy, gdzie niegdzie już nawet kopy siana, a w częściach nieskoszonych przedziwne łąki trawiaste, pełne kolorów mieniających się: błękitnych, złotych, liljowych... Wszystko to w pełnych blaskach słońca — w krzepkim uśmiechu rannym... Patrzącemu aż serce wyrywało się z piersi radosne a nogi same szły w taneczny ruch.

W podskokach biegł za wołmi, gziącemi się po polanie, wreszcie, porwany przez swobodę, padł na miękkie, rozgrzane pokosy i tarzał się po trawie... Nie wiedział już, co z radości począć.

Za chwilę wyгнаł woły na polanę Jasięk z Brzyzku, starszy od Wojtka o roków pięć. Przywitali się wesolo:

— Nie widziałeś, kto zenie za tobom?

— Nie widziałeś.

W krótkości opowiedzieli sobie swoje niebogatą sprawę.

— Kaś do tela pasł?

— Na Płoskanie. A ty ka?



— Pod Wasielką. Ale i tu ku krajom wychodził z wołmi...

— Mnie nie dali.

— Jaby ta słuchał!...

Wojtuś zawstydzil się. Chciał uchodzić za parobka, co ma swoją wołę, a tu się sam potknął. — Juz ani razu nie pozenę na Płoskanie — przysięgał se w duchu.

Znowu kilka par wołów wychyliło się z za wierchu. Na polanie uczyniło się gwarno i głośno. Pohukiwania, przyśpiewy leciały w roztoke. Pasterze cieszyli się pogodnym dniem i sobą, że ich tyle zebrało się razem. — Była już gromadka spora, i to w różnych leciech. Prócz Wojtusia i Jaśka byli tam jeszcze: Józek Cudzin, Łukasz z pod Trześni, Hanka od Zapałów, Kasperek mały Zajęcin, i wreszcie Jędrak z Doliny, najstarszy pomiędzy nimi. Ten też miał się już za gazdę i kazał se inszym woły nawracać. Choć go ta nikt bardzo nie śpieszył się słuchać.

Nareszcie ukazała się i Kasia z wołmi.

Jak się zjawiała na polanie, to widziało się Wojtusiowi, że słonko jeszcze pojaśniało — tyle wesela przyniesła.

Z początku z nieśmiałością niejakaś patrzył w nią — nie widział jej już dawno zbliżka — lecz pomalu począł go śmiech jej przyośmielać. Widział też, że równie szczerym śmiechem przyjmuje żarty i docinki pasterzy, jak i przychlebne ich słowa.

On też wszystkim śmiech jej przerozkoszny brał bez uszczerbku oczami, ku swemu szczęściu obracając go, jako to słońce, i snuł się za nią, gdzie stąpiła. Nic poza nią nie widział.

Skoro sposobność nadarzyła, że pasterze rozeszli się za patykami po kraju, aby ogień upalić na obiad, i Wojtuś został sam z Kasią, wysypał przed nią gruszki z rękawa.

— To ja ciebie — rzekł nieśmiało.

— La mnie?

— Bo wy nie macie gruszek... a u nas są...

— Toś dziś utrząś?

— Dziś.

Brała po jednej, jadła i śmiała się w przestankach. Wojtuś był już pół w niebie.

— Ja ci jeszcze jangrestu przyniesę! — obiecał.

— To macie jangrest?

— Nie. Ale ja wiem o nim. Rośnie w brzegu nad Płoscą... Ino tam żmije są...

— Nie bois się to?

— Co się mam bać!

— Cie! Jaki śmiały! — chichotała.

Wojtuś, całkiem już przyośmielony, postanowił odważnie powiedzieć jej... Ważył w myśl: co — jak... I z drżeniem ledwo spytał:

— Widziałaś mnie, jakech pasł na Płoscianię?

— Ba, dyć nieraz.

— I ja cie tyż widział... codzień... jakeś gnała...

Więcej jej nie umiał powiedzieć. Wszystko to już zresztą przeszło i nic z tego niema. Teraz radość w sercu z jej widoku wszystko przykryła. Słowa zbytnie.

Patrzył w jej oczy bijące weselęm, w jej usta rozchylone jako kwiat do słonka, i strasznie dobrze mu było.

— Coż tak patrzysz? — śmiała się. — Jesce mnie urzeknies...

— To odcynię...

— Byś umiał!

— Naucę się od ciotki...

Śmiała się, szczerze rozbawiona, a Wojtuś już w niebie widział się cały.

— Ale jakiś ty wystrojony! Ładnie ci w tym kapelusie. Jak družba.

— Będiesz mnie na družbę prosić?

— Będę. Ino rośnij wartko.

— Coż to — ja mały? — Dźwignął się i stanął przed nią, podwyższając się na palcach.

Józek, który wrócił z kraja, skoczył i oblał go ramionami za pas.

— Spróbujmy się!

Poczęli się szermować i wodzić po trawniku. Długo żaden żadnego zmóc nie mógł. Józek był tęższy w sile, bo i starszy, zato Wojtuś znał sposobów więcej. Skorzystał też z momentu, gdy Józek przegiął się nieco wtył, poderwał mu sposobem nogę i obalił go na plecy. Jeszcze leżąc na jego piersi, podniósł głowę i spojrział z triumfem na Kasię. Kasia śmiała się głośno, wielce ubawiona.

Przypadli pasterze insi, i poczęły się wodzenia kolejne. A wszystko przed obliczem Kasi. Śmiech jej dzwonił bezustanku. Każdy w sercu swojem dufał, że się z jego przeciwnika śmieje.

Ustali dopiero, skoro się Jędrak z Doliny wmieszał pomiędzy nich. Z nim nikt nie chciał się za pas próbować, bo choć mocniejszy, krzywdę lubiał czynić.

Obiad jedli pospólnie, a potem z wołmi szli krajami, aby się na noc napasły.

I Wojtusiowi mignął dzień jak we śnie.

Odłączywszy swoje woły, gdy na wieczór do dziedziny zeszli, gnał je ku ojcowskiemu osiedlu i rozwijał w pamięci barwne wstęgi dnia. Jeszcze na oczach stały mu obrazy, śnione w słońcu — jeszcze w sercu czuł radosne szczęście — jeszcze w uszach dzwonił mu śmiech Kasi. Ten śmiech przedziwny, pełen barw i dzwonek cudnych...

Pewnym był, że do niego radziej śmiała się niż do innych. I nie było we śmiechu jej drwienia, jakiego innym nie skapiła...

Jeden cień ino... Zauważył przelotnie u niej jakieś porozumienie oczami z Jędrkiem z Doliny i uśmiech inszy... Ale to pewnie przezdąło mu się tylko.

Z błogością myślał, że jutro, pojutrze będzie znów widział te oczy, wesela pełne, i ten darzący śmiech.

#### IV.

Pogoda przez resztę sierpnia trwała. Wnet pokoszono pozostałe łąki i suszono wilgne jeszcze siano.

Pasterze mieli uciechę. Na polanach ludno było, jak w czasie zbiorów we wsi. Gzili się z dziewczętami, pomagali im przewracać siano, raczej przeszkadzając niż pomagając w robocie, i nosili się ze śmiechami od kraja do kraja. Wołów pilnować nie trza było — miały ślebobne hale paszy.

Wojtuś naprawdę pomagał ludziom przy suszeniu, z tem większą ochotą, że to nie z przy-musu, ale z wolnej własnej woli. Grabił siano, przewracał, znosił do kóp, związał się, aż mu pot zalewał oczy. Co jedni skończyli suszyć, szedł ku drugim. I tak od rana do nocy. Nieraz, uzno-jony i umęczony docna, praskał na ziemię w cie-niu — ale za chwilę zrywał się i biegł z podsko-kami ku grabiącym, jak jeleń do wody. Radzi mu też byli wszyscy, chwalili go za prędkość i za sposobność w robocie, a on się uśmiechał z dumą i niósł się, jakby w tańcu. Dwoiła się w nim siła na myśl, że robi na oczach Kasi.

Za kilka dni siano wysuszono. Coraz ktoś wyjeżdżał z wozem i brał z kóp wysuszone. Kopy

rzędniały, traciły się nieznacznie. I pasterzy mniej teraz na polanach jak i wołów — zwożenie odrywało.

Jednego rana wywiózł wóz Jasiek z Brzyzku. Mieli i oni tu siano. Roztrząsł kopy z pomocą Wojtusia, by przeszło z nocy. Ojciec Jaśka wyszedł na odwieczarz i poczęli brać. Pasterze zeszli się ku nim — był między nimi Jędrək z Doliny, była i Kasia, ale pomagać nie było co. Siana prawie było na wóz. Ojciec przygrabywał, Jasiek stał na wozie, a Wojtuś mu podawał. W czasie tego prześmiewali się, przegadywali ku sobie. Najwięcej podrwiwał Jędrək z Jaśka.

— Żle kładzies! Na jednostronkę...

— Jak ty bedzies gazdą, to mie naucys! — odcinał Jasiek.

— Założę się, że ci się przewróci!

— Poślę po ciebie, co byś dźwigał. Bo się scycis, żeś mocny.

Pasterze śmiali się — najgłośniej Kasia. Stała nad wozem, na pagórku. Chustka jej spadła na ramiona — włosy rozteczyły się dokoła głowy.

Wojtusiu, pozorującemu ku nim z poza wozu, cudem się zdała, nie prawdą. Odurzonemu już pachnością siana, głowa się zawracała. Ale trzymał się mocno, tężył siły i z zapalem podawał na wóz Jaśkowi kłęby zbitego siana.

Jasiek odbierał, układał koło leter i deptał nogami.

Skoro już nakładli ponad letry i piętrzyć poczęli nod pawaz, Wojtuś nie mogąc dostać rękami — jako że wóz stał na pagórku, a on z dołu podawał — wziął ostrew (zwyczajnie kół oszczerniony, na którym siano suszono) przystawił z dołu

do wozu i po sękach jak po drabinie wychodząc, podawał dalej Jaśkowi.

W pewnej chwili Jędrək, do krzywdzących ino śpasów zdalny, kiedy Wojtuś stał u wierchu, poderwał ostrew z pod niego — i Wojtuś spadł na ziemię. Szczęściem nie na ostrew, bo na jej sękach twardych mógłby się był istnie przebić. Nic mu się złego nie stało, ale się zląkł mocno.

Zerwał się rozzłoszczony i skoczył do Jędrka. Ten, będąc jeszcze w górze, odepchnął go tak mocno, iż Wojtuś padł nawznak i głową jęknął o trawnik. W tym momencie usłyszał śmiech Kasi...

Ból i wstyd większy od bólu zaćmiły mu rozum. Nie władał sobą. Porwał się z ziemi w strasznym gniewie — jak przez mgłę dojrzał porzuconą rabanicę, którą ojciec Jaśka pawaz wystroił. Schylił się po nią i rzucił się ku zdętwiałemu z przestachu Jędrkowi...

W te razy Jasiek hipnął z wozu i dołapał go za rękę w chwili, gdy już miał się zamachnąć...

Wojtuś naraz osłabł w sobie, usiadł na ziemi i długo jeszcze dygotał w sercu ze wzruszenia.

\*

Kasia odtąd przestawała się śmiać, gdy się Wojtuś zbliżał. Próżno wyglądał dawnego jej śmiechu.

\*

W jeden wieczór zganiał woły nadół. Gnał sam. Pasterze z polan już pognali. On zabawił się jeszcze przy koszarze.

I gnał z góry uboczą przez wrąb, w widnym jeszcze pobrzasku, padającym od zorzy zachodu.

Z wrębu droga skręcała w przylaski, na zakręcie zarosła trawnikiem.

Darń tłumila stapania wołów, i on też cicho szedł za niemi.

Przechodząc koło przylasku, rzucił okiem w głąb i w zdziwieniu zatrzymał się. W żrącym odrzasku pomiędzy smreczkami dojrzał dwa łyse woły... Przyjrzał się lepiej — istotnie — woły Kasi...

— Przecie już spora chwila, jak pognąła. Czyby czekała tu — na niego?

Serce zabiło mu z radosnego przypuszczenia. Cicho podsunął się — odchylił gałęzie smreczków i — cofnął się czem prędzej.

Obaczył Kasię — w uścisku z Jędrkiem z Doliny...

Zbiegł prędko za wołmi, które już niżej zeszły, i gnał do domu. Wstyd jakiś bolesny czuł w sercu. Napróżno siłił się go pozbyć. Smutno mu było bardzo, ciężko i czegoś żał...

Raz — pamięta — ale to już bardzo dawno — podobnie żał mu było nowiuteńkiego kapelusza, co mu ojciec kupił, gdy się nieszczęsnym przypadkiem na środku przepalił.

\*

Nazajutrz, żenąc woły w górę ku uboczy, skręcił, i choć mu teraz ojciec nie kazował, pognął paść na Płoszczanę.

## OPOWIEŚĆ O PŁANETNIKU.

Zwątpiwszy całkiem w oświatę, jaką z miest przez kalendarze i insze „macierze polskie“ gwałtownie raz do roku (niby w śmigus pachnącą nieczystość) na lby nieuczesane rozlewano, w pewnej wsi niebardzo znanej, która jeszcze nie wymarła doznaku na tyfus, gazdowie, trapiący się po próżnicy życiem i szukający nadaremnie jakiegoś oparcia, zgromadzali się wieczorami w izbie mało jasnej i oświecali się sami (dziwny sposób) przez różne z życia opowieści, jakie zwyczajnie ogólnej uwadze jeden lub drugi podawał.

Więc w jeden wieczór Szymek z Końca taką opowieść przytoczył:

„Niedaleko od nas, bo koło Góry św. Jana, ludzie dobrzy, zamożni, których tam zwią kmiecie, chowali sobie w domu planetnika, i czuli się bezpiecznie przed burzą: nie obawiali się już, że im grad zboże poniszczy, ulewa ziemniaki splócze. bo ich o tem zapewnił sam, gdy go w gościnę radzi przyjmowali, chociaż — można rzec — z niejaka obawą, jaką zwyczajnie człowiek zwykły czuje przed takimi.

Ciekawiście, jak wyglądał ten ich chowany planetnik? Był to panek dość zgrabny i w odzie-

niu czarniawem, jakie się na panach widzi. Zresztą nie miał napozór nic dziwnego w sobie. Przyszedł raz do nich, jak wędrownik i na pytanie: co robi? czem się zajmuje? — powiedział, iż burze zażegnuje. „Któżby inszy mógł być, jak nie planetnik?“ — dumali, i przyjęli go ochotnie w gościnę.

No i pomału, z dnia na dzień oswajali się z nim jakoś, i tak się wreszcie doń przyzwyczaili, że już nie czuli nijakiej obawy przy nim, natomiast mieli w sercach raj i spokój taki, jakiego nigdy przedtem nie miewali.

Zazdrościli im wszyscy ludzie dookoła i pewnie byliby im tego planetnika obietnicami do siebie zwabili, gdyby ich ta myśl nie cofała, że gdy burza nadejdzie, a on ją zażegna, to przecie i ich grunta się przytem ocala, jako o miedzę sąsiednie... A tak się i skorzysta i kosztów się nie poniesie żadnych na chowanie. „Niech sobie go tam chowają“.

Chowali go też ci kmiecie, czem mogli najlepszem, bo i grymaśny był bardzo. Jajecznicę mu smażyli, zacierkę z bielutkiej maki na mleku słodkiem przyrządzali, no, słowem, miał opiekę — jakby wam jaśniej przedstawić? — ani pleban nie ma takiej od swojej gospodyni. I szanowali go wszyscy, nawet czeladź; gdy spał w świetlicy, to na palcach przez sień chodzili, drzwi, które skrzypiały, w piekarni nie dowierali, kury gdaczące na ten czas z kojca wynosili, świiń o tym czasie do izby nie puszczali — nikt chyba już tak nikogo nigdy nie szanował.

I dobrze temu planetnikowi tam było — sam nawet mówił, że mu dobrze. Całymi dniami nic

nie robił — święty miał czas — wsze święto. Jeno czasem przychodziła na niego planeta. No, zwyczajnie u planetnika. Cóż się dziwić? Najczęściej, gdy mgły schodziły od wierchów w doliny. (We mgłach on jeno lubiał chadzać). Wtedy szedł w pole w swoim wietrznym płaszczu — i kto wie, co tam nie robił — bo się bali za nim daleko w pole wyzierać. „Swoje sprawy czyni“ — powiadali. I dowiadywali się wieczorami od wystraszonych pasterzy, iż mgłę do torby brał i nosił ją na wierch wysoki — tam, jakby w chmurze, kule ze śniegu robił i tulał je, bawiąc się niby, nieraz do śródwieczerz — to znowu, iż w potoku wodę kijem bił dotąd, pokaż się w lód nie ścięła — i insze jeszcze dziwne historie.

Po takich pracach gdy wracał, zmęczony był bardzo. To też czem pilniej stroili mu, co mieli jeno najlepszego. Jadł i spał potem, a ludzie byli spokojni.

I tak czas święcie mijał, przechodziło już i lato, a o burzy ani słychu. Nigdy się tak szczęśliwie żniwa nie zapowiadały.

Poczynali się już i ludzie dalsi zwiadywać (bo słyna szła) o tego planetnika: czyby do nich na zimę nie przyszedł, dumając w swych rozumach, że owi kmiecie, którzy go chowają, chętnie go na zimę puszczą, (jako że w zimie o burze obawy niema), a oni już — co stracą, to stracą — to, zimując go, na lato sobie zapewniają jego opiekę i wdzięczność — może i na dalej — kto wie — przyszłość taka niepewna...

Ale owi dobrzy ludzie ani przykładać sobie do myśli nie dali, iżby mieli pozbyć się takiego drogiego gościa. „Już my go tu i wyzimujemy“ —

powiadali. Za nicby sobie tego spokoju nie dali odebrać, jakim ich napawał on, w domu ich bawiący. „Oto jak życie życiem, takiego lata cichogo nie było. Co się zamgli na niebie, to się rozpogodzi. Wszystko, dzięki jemu (dawniej: dzięki Bogu) rośnie i bez szkody na polu dojrzewa. Co to, widzicie, znaczy mieć moc albo władzę... A co to znaczy mieć taką władzę u siebie!“ Już poczynali się pysznić „swoim planetnikiem“, jak go po domowemu przed obcymi zwali.

I w takiej spokojności świętej czas upływał, żniwa się wolno poczynały. Ludzie się nie śpieszyli ze żniwem, jak po insze roki, gdy trza było kraść czasowi ze rzadka sposobne chwile. Widzieli same pogodne dni przed sobą.

Aż tu jednego przypołudnia przybiegła służąca, która na miedzy na wzgórzu trawę krowom do podoju żęła, i zadyszana powiada, iż słyszała grzmot w chmurze. Zrazu nie wierzyli jej i wyszli słuchać. I obaczyli na oczy czarną na zachodzie noc woddali wielkiej i usłyszeli echo głuche przetaczającego się po niebie grzmotu. Zatrwożyło ich to trochę, więcej jednak ze zwyczaju, niż z prawdziwej gazdowskiej obawy o siana. Przecie chowają planetnika. Weszli na powrót do izby, a przechodząc przez sień, zajrzeli przez szparę do świetlicy, aby się upewnić w sercach, iż on jest w domu, i obaczyli go śpiącego, więc tem spokojniej posiedli na ławach swoich. Ba — po niedługim czasie odgłos grzmotu do izby doleciał, i ściany nawet, widziało się, zdrząły przy tym odgłosie. Nie mogli długo usiedzieć spokojnie i znowu wyszli patrzeć. Czar-na noc zbliżyła się — widać było wyraźnie ko-

łujące się ceglaste chmury. A w tych chmurach tak szumiało, jakby tysiące ptaków gdzieś górą leciały, albo jakby się potoki zeszyły w jeden huczący wodospad. Groza szła od tego szumu. A tu już i błyskawice oczom się pokazywały — różne łańcuchy ogniste i krzyże — i grzmot się toczył bezustanku. Wtedy poczeli mówić między sobą: „Trzaby go zbudzić“. Ale żadne nie miało śmiałości iść, żadne nie chciało pokazywać trwogi. Wkońcu, widząc już, że niepeć, że chmura już pół nieba zajęła, zdecydował się sam kmieć i wszedł nieśmiało do świetlicy. Planetnik już nie spał. „Też róbcie jako“ — zaczął kmieć z jakanem — „bo widzicie, co się dzieje“...

„Widzę“ — odrzekł planetnik — „Macie zaraz tu na oknie położyć pięćdziesiąt koron“... I zaczął się powoli zbierać.

Kmieć miał się zapytać: naco? — ale odłożył na później, by się przez to pytanie jakie zło nie stało. Poszedł posłusznie do komory, przyniósł pięćdziesiątkę i położył ją na wskazanem miejscu.

Spokój, z jakim się planetnik ubierał, wiał napowrót wiarę w serce kmiecia — wyszedł uspokojony, zwołał domowników do izby, gdzie znowu na ławach posiedli i w spokojności serc swoich czekali. Dawniej byliby, trwogą ogarnięci, szukali dzwonek loretanńskich, chleba św. Agaty, mąkę na ognieńby sypali, a gdyby to nie pomogło, to popadaliby na klęczki, zamknawszy pierwwej wszystkie drzwi i okna, i wołaliby w ostatniej ufności, w płaczu ogólnym: „Święty Boże!“ A teraz nic im z tego wszystkiego na myśl nawet nie przyszło, jeno pozierali z ciekawością przez uchylone nieco drzwi piekarni, których



umyślnie ktoś nie domknął, ku świetlicy: co on tam robi, czy już czyni, czy już zażegnuje...

A planetnik, ubrawszy się, schowawszy ową pięćdziesiątkę i pozbierawszy rzeczy swoje, których nie miał wiele, bo jeno kij, torbę na mgłę i ów płaszcz wiatrem podszyty — stanął, pomyślał trochę — i wyszedł. Widzieli go, jak wychodził, i choć ciekawość ich rwała, nie mieli odwagi za nim na pole iść. A już czas był najwyższy, bo burza była już tuż prawie...

Moiściewy — jak przyszedł grad, to zbil tak wszystko doznaku, że nie mieli ludzie dobrego co po gradzie zbierać. Wytrzepał wszystko do imentu!

Takiego sie to cudu z niego dochowali“.

Długie po tej opowieści Szymka nastalo milczenie. Gazdowie kurzyli fajki, wzdychali głośno, rozważali. Wkońcu Cyrek od kościoła, siedzący najdalej w kącie, wyjąwszy fajczynę z zębów, splunął i odezwał się cichawo, zwolna:

— Ono ta tak... I dziś są tacy planetnicy, którzy sie tem przechwalają, że burzę potrafią zażegnać, gdy padnie. A lud ich chowa. Ono ta tak...

I znowu się cicho uczyniło. Jenó sapanie ciężkie a pykanie z fajek słycać było. Nikto z nich jakoś nie myślał już nowej podawać opowieści.

## O WOJTKU, KTÓREGO NA SZCZEPANA PRZEKRĘCILI.

— Sam o tem, już jako Szczepan, tak ludziom dobrym opowiadał:

„Dwóch nas matusia mieli. Było tam jeszcze coś, jak powiadali, ale to sie nie doczekało chrztu świętego. Mnie było Wojtek na imię, a bratu starszemu Szczepan. Tatuś pomarli zawczasu, i my z matusią gazdowali. Szczepanowi przyszły roki, że musiał stajać do odbiórki, i za drugim razem z wiesną odebrali go do wojska. Miał już na jesień iść. Ale matusia nie chcieli, żeby on do wojska poszedł, bo im sie widział bardziej niż ja przy gospodarstwie potrzebny i kochali go bardziej niż mnie, już od samego czasu. I jak wzięli chodzić do powiatu, do urzędów, do wójtów, do pisarzów — jak wzięli kręcić i kręcić — tak mnie na Szczepana przekręcili... I, jako niby Szczepan, musiać do wojska przystać“.

Nie wiedzieć zgoła, jak mu tam przy tem wojsku było, bo na jego opowieściach trudno się opierać, — dość, że trzy roki uczciwie do końca wysłużył i do wsi po zwolnieniu ze służby powrócił.

Ale — jakby mu tam co złego zadali — już się chałupy nie trzymał. Jakgdyby go coś odbiło

od domu... Marsze odbywał, krótsze albo dłuższe, zależnie od dnia i pogody — pasterzy, gdzie napotykał, zawzięcie „egzeczyrował“ — lecz najochotniej rad biegał po polach, nie bacząc zgola na szkody, a gdy mu kto zwracał uwagę, co robi, odpowiadał, stanawszy „podług rozkazu“, że „cesarskie manibry“ odprawia.

Omijali go gazdowie i dużych piekieł nie robili mimo tych szkód, jakie im się w oczach dziesiątniły; czasem ta jeno niektóry kijem go przegnał sękatym na przestrzeń swobodniejszą.

Jeden błąd jeszcze miał w rozumie, jakiego dawniej u niego ludzie nie widzieli: noża się ogromnie strachał. O czym gdy się młodzież we wsi, jak zwykle lekkomyśląca, zwiędziała, już nie miał od niej spokoju. Wszędzie go temi nożami jak psi szczekaniem zająca, pędzili.

Widzą go, idzie poprzez sień.

— Józek, podejmo tam noża!

Wchodzi za próg do izby — to już nóż na pasku ostrzą. Nieraz nie zdołał „pochwalony“ rzucić, tak wartko w pole nawracał.

Najchętniej też trzymał się otwartego pola, gdzie mógł przed zasadzkami uść łącno — tak doznaku, jak zając płoszony. I najczęściej w tej wolności po szopach nocował, a latem to i pomiędzy żytami, bo gdzie jeno na nocleg do osiedli zaszedł, w te pędy odstrachali go temi nożami.

Nie mówi się już o siekierze. Siekierę gdy obaczył, to mało iż ze skóry nie wypadł — tak się jej widoku lękał. I wogóle wszelakie ostre żelaziwo, które on „bronią“ nazywał, tak go okrutnie strachało. Kto miał tę „bronią“ przy sobie, to już nie był dlań człek ze wsi, już go nie po-

znawał nijak; był to w jego wyobraźni wróg jakiś, na życie jego nastający.

I gdy go kto zastraszył, tak się zmieniał, że prawie nie tym był Szczepanem... jakby go co w tym strachu znów na inszego przekręcało. Oczy wyskakiwały, twarz bladła, a mowa mu się tak przeinaczyła, że niktoby go po niej nie rozpoznał; nawet słów dobierał inszych, niż we zwykłej gwarze.

Straszony dziczał pomału, dróg się już ludzkich nie trzymał, więcej polami chodził, ulicami, któremi było goni się na paszę. Lecz i tu nie był doznaku bezpiecznym.

Zdarzyło się raz: szedł ulicą krokiem żołnierskim, wymierzonym, aż tu słyszy przeraźliwe: „Stój!“ i widzi przed sobą rycerza (każdy chłop wyższy rycerzem mu się wydawał), jak wyjmuje broń (kozik) z za pasa i zbliża się złowrogo ku niemu. Szczepan zmiertwiał z przestachu. Poczem zwyrtnął się nązad i w ucieki... Ba — z tej strony jeszcze gorsze niebezpieczeństwo. Oto jedzie jakiś rycerz czterema siwcami (chłopina wiózł widać z lasu ścielę byczętami) broń na ramieniu dźwiga (siekierę pewnie, jak z lasu) i wyraźnie niedobry zamiar ma w umyśle. Szczepan już nie wiedział teraz, co ma robić. Ulica owa była wąwozem głębokim i jeszcze płotem ogrodzona. A tu z dwóch stron nieprzyjaciel... Zastanowiwszy się mało, zwrócił się znowu ku pierwszemu. Ten, widząc trwogę Szczepana, podnosi głos straszny: „Tu musisz zginąć!“ i wywija bronią. Szczepan w niebezpieczeństwie ostatniem zbywa się trwogi, pada na kolana i poczyna słowami miękzyć serce wroga. „Wiesz ty... ja

twojej ojczyzny bronił! Ja krew la ciebie przelewał! O mało żem w stu bitwach nie zginął... Czy ty to pojmujesz? Uderz w pierś moją (tu odsłonił rękami koszulę), jeżeli masz serce... uderz! Tu tysiąc kul mierzyło... A te rany (pokazał sińce na ramionach), wiesz, la kogo te rany? La ciebie! Tak, szlachetny rycerzu, la ciebie i la ojczyzny twojej! Masz sumienie?"

W tem podobieństwie jeszcze długo mówił, aż chłop, od śmiechu już zesłabły, przepuścił go ulicą.

I niejednen raz podobnie się zdarzało.

Czasem jakaś litościwa gaździna, u której nie było nikogo takiego, coby go „bronią“ odstraszała, przyjęła go do domu na czas jakiś — to robił, pomagał jej całym wdzięcznym sercem, i nie widać było po nim, aby mu co w rozumie brakowało. Ale niech jeno kto przyszedł i z żartu nóż mu pokazał — już go nic nie utrzymało. Uciekł w pole i już się nie nawinął.

Do spotkanego kogoś, kto mu wyrzucał słowami: „Nie dobrze ci tam było? Nie mógłś tam ostać?“ lub podobnie inaczej, powiadał:

— Ani człek wie, moiściewy, co go może trafić. Gotowi zarznąć... co myślicie!

— Bajże, baj! Ktoby cię ta zarzynał! Coby komu z tego przyszło?

— Ho! Ani wiecie, co kto myśli. Cóż przydzie z tego ludziom, że biją inszych? A biją...

— Bo jak kto zawini.. Ale ty, cóż komu wadzisz?

— Nic nikomu nie wadzę. Ale któż wie... Czasem człek nic nie zawinił, a karzą go. Nie-

rozum sie nie pyta, ba bije... na śmierć bije! Tak. Ja to wiem dobrze.

— Cóż ty, człowieku, możesz wiedzieć? Cożeś ty podżył na świecie gorzkiego?

— Ja nic nie gadam. Co wy chcecie? Możecie wy szpieg jaki? Co?

I nie czekając wyjaśnień, umykał jak zwierzę, gdy dojrzy zasadzkę.

Nieraz też któraś z kobiet, bo go te jeno litowały, zapytała go:

— Jakże ci tam, Wojtuś, przy tem wojsku było?

On na to z pewną przechwałą:

— He, he! Ja już nie Wojtek! Ja Szczepan!

— No to, Szczepanku... jak to tam przy tem wojsku było? Opowiedzno nam choć nieco...

Nie dawał się długo prosić, ochotnie opowiadał.

— Raz nam kazali zabrać wszystko, całą zbroję swoją i masierować na manibry, bo tam nieprzyjaciel czekał. Zebrałi my sie wartko, coby nieprzyjaciel tymczasem nie uciekł, i szliśmy ciągiem polami, obchodząc drogi zdaleka, aby go zająć znienać. Śpieszyli my sie strasznie, ale i to sie widziało jednorałom, co za nami na koniach jechali, że za pomału idziemy, bo nas co chwila przynaglali, a czasem kazowali biec, co sił wystarczy. Niejednen słabszy nie wytrzymał, bo i upał był okrutny, zwłaszcza, jak przyszło iść po piachach, gdzie nogi wiały po kostki. To też dużo poostało, i zbierali ich na wóz. Ale my reszta szliśmy wytrzymale, bo cóżby sami jednorałowie z nieprzyjacielem robili, jakby my wszyscy poostali — aże doszli my do jakiejś wsi, gdzie nam

kazali przenocować. Dali każdemu numero i kazali nam kwater podług tych numerów szukać. Poszedł ja szukać tej swojej kwatery — ale czy ja to numera znam? Nałaziłem się jeno po próżnicy i wreszcie — coż było robić? noc już przysiadła domy, i kwater nie było widać — poszedłem w pola między żyta i położyłem się spać w całej zbroi. Zbudziłem się dopiero, skoro na zbiórkę rano zatrąbili... Zerwałem się co tchu, zdyszany przylatuję i staję w rzędzie za innymi... Starsi mię zawołali... Nie wiem, co im się na mnie nie widziało — czy to, że mnie rosa przysiadła, czy co insze — bo mię opatrowali dookoła i potem bili, aż... wstyd mówić... Nerozum ludzki, i telo powiedzieć. Bo cóż ja im zawinił?

Drugi raz znowu, ale to już było po manibrach, kazali mi iść na wartę. Ja też ochotnie się zbierał. Przecie mi to nie było cudne. Co ja się na tę wartę z chałupy nachodził! Przyszła „warta“<sup>1)</sup>, to matusia: „Ty, Wojtek, pójdiesz“. Ja się nieraz i opierał, jak mi się niebardzo chciało. „Czemu raz Szczepan nie idzie? Ja zawsze będę chodził?“ Ale cobyś z matusią... Zawdy stronę Szczepana trzymali. Szło się z wartą do wójta, jak wiecie, i tam się przedstawiało, że warta jest, a potem się szło na szopę i spało się do rana... To też, jak mi przy wojsku kazali, ja się ochotnie zbierał. Tak, to rozumiem — na wartę — a nie na żadne egzeczyrki. Bo cóż to komu z egzeczyrek? Warta potrzebna; o tem ja już dawno wiedział.

<sup>1)</sup> Znak (na wartę): czasem trąba, a czasem kawałek drewna w kształcie rozmaitym. Taka „warta“ ma w oczach wszystkich jakąś świętość, nietykalność, jak np. kapelusze władzy.

Zebrałem się i poszedłem, kany mię zaprowadzili. Przykazowali mi na odchodnym, cobych warty pilnował. O, nie bójcie się, ja tu „warty“ nie stracę. Myślę se: „To pewnie przy wojsku gwer „warta“ nazywają. Dobrze się czegoś nauczyć. A powiadają, że człek się przy wojsku niczego nie nauczy. Bajdki!“ Tak se dumam rozmaicie i stoję na tej warcie. Ale mi się już za długo widziało — już mi się zaczął czas na dobre dłużyć — rozpatruję się dookoła, żeby to cnienie jakoś zacyganić, i widzę niedaleko: wiśnia zieleńiutka, a na niej czerwienią się wiśnie, jak pokusy. (Potem mi przyszło dopiero do głowy, że to diabeł pewnie tę wiśnię tam posadził, aby mnie skusić, jak drzewiej naszych ojców w raj). Pić mi się właśnie zachciało. Ja też, niewiele dumając, oparłem „wartę“ o budkę, poszedłem ku tej wiśni i wylazłem na nią.

Obieram wiśnie (słodkie były!) i daję poziór na „wartę“. Nie zjadłem może ze trzy garści — widzę: nadchodzi patrol ze starszym — słyszę wnet: wołają na mnie. „Ja haw!“ — odzywam się im, choć mogłem się i nie odezwać. — „Zaraz zleżę...“ Starszy zakrzyknął: „A gdzie warta?“ Ja mu powiadam: „Tam stoi...“ On znowu: „Tak pilnujesz?“ Ja, widząc, że się niepotrzebnie złości, aby go oześmieszyć, odpowiadam mu do składu: „Ja haw wiśnie obieram, a na wartę pozieram“. Nie wiem, czy to odpowiedź tak go ozgniewała, iż nie czekał, aż zleżę, ino kazal mi żołnierzom ściągnąć i bił po pysku, po rozumie, ka jeno w złości utrafił... Pytam się: „Za co?“ a ten nic, ino się jeszcze bardziej sroży. Nie koniec na tem. Pojmali mnie i zawlekli, bom iść

o swojej sile nie mógł, do jakiejś ciemnicy i... znowu bili... Nie warto i gadać. Nierozum ludzki, i telo powiedzieć.

Trzeci raz znowu tak było: Kazali nam się ubrać na paradę i wyruszyć na błonia. Tam miał przyjechać jednorał jakiś najstarszy, i mieli my mu się przedstawić. Ubrali my się, wzięli zbroję i wymasierowali. Potem my się ustawili tak, jak nam kazali, i czekali my, co będzie. Nadjechał wreszcie ów jednorał, cały w złocie, że aż oczy bolały od blasku. Serce się wojenne we mnie zatrzaśniało... Widzę, nikt go nie wita, jak należy — wszystko stoi i patrzy się jak głupie. Ja też, niewiele myśląc, zdjętech broń i wystrzeliłem mu na wiwat. Spodziewały się, że mi podziękują. Ale co byś z ludźmi... Zlecieli się ku mnie zewsząd i... znowu bili... Ja się już nie pytałem, za co, bo co będzie... Nierozum ludzki, i telo powiedzieć“.

Takie jeno historie Szczepan z wojska umiał, podobnych jeszcze trochę i nic więcej. Choć znali je ludzie wszyscy, bo jedni drugim podawali, jednak radzi je od niego słyszeli, bo śmiechu z tego było dużo. Jemu zaś było wszystko jedno, czy się kto śmiał, czy nie — tak śmiech jednako przyjmował, jak i udane litości.

I płatał się tak między ludźmi, właściwiej między strachem a rzadkim spokojem, to między głodem a średnią sytością. Jak się przy czasie zdarzyło... Żył tak doznaku, jako tęg zwierz leśny, trochę do ludzi wzwyczajony, ale więcej się ich lekający.

Nieraz któryś ze starszych gazdów postrofiwał go żartobliwie:

— E, Wojtuś, czy tam Szczepanku, pokiela ci się tak tłuc pomiędzy ludźmi? Masz kawałek, poszedłbyś i siedziałbyś na nim...

I słuszność była w tej uwadze, bo miał kawałek pola; matusia przecie nie zabaczyła o nim i zostawiła mu go w „destamencie“.

Ale też i Szczepan słusznie odpowiadał na to:

— Jakże będę na nim siedział, skoro hańsnię...

Bo rzeczywiście, przez cały rok prawie leżał śnieg na tym kawałku. Kawałek ten był pod lasem w stromej, północnej uboczce. Najwcześniej śnieg na niego spadał i najpóźniej z niego zszedł — tak, że chcąc z niego coś zbierać, trza było chyba trawę siać; ale cóż z tego — kamyk był przy kamyku tak gesto, i jeszcze jeden na drugim, żeby się już trawa przy nich, choćby jak igła cienka, nie zmieściła.

— Nima rady, chrzestny ojczy! — jak powiada komornica Tekla, która też taki grunt po ojcach dzierży i podatek z niego święcie spłaca.

Tak więc Szczepan, choćby i usposobienia nie miał do chodzenia, musiałby rad nierad chodzić: bo czas miał, dużo czasu zbywało mu od uprawy tego macierzystego zagona.

A że miał usposobienie do marszów, do „manibrów“ i inszych wolnych na powietrzu ćwiczeń, to i uprawę zaniedbał doznaku.

Ludzie zczasem, gdy się z nim całkiem oswoili, gdy już wiedzieli wszystko, co umiał powiedzieć, i historie jego wszystkie znali i nic się już nowego od niego nie spodziewali — stali się dlań dokuczliwsi, można powiedzieć: gromadnie zawzięci. Dawniej młodzież, a potem już i starsi

straszyli go „bronią“ rozmaita, tak, iż dorezty zdziczał. Latał po polach jak dawniej, ale zdaleka od osiedli — człeka gdy dojrzał, omijał, choćby mu potok padło przejść spieniony — czasem jeno ku małym bardzo pasterzom przyszedł zagrzać się, gdy ogień palili. Niewiadomo, czem się żywił; pono bukiew zbierał i luszczył, co dziki poostawiły, to znowu jawór pod lasem oblupił i skórę oną ssał dla słodkości, jaka się w niej ma najdować — któż wie, co zresztą już nie jadał.

I żył tak, póki nie umarł.

W pamięci ludzkiej jeszcze ciągle żyje; serdecznie się uśmieją, gdy se go przybaczą lub przywiedą na pamięć jego opowieści: o jego wojsku, abo o tem, jak go to na Szczepana przekreśli...

## LIS.

— Idźże, przynieś co dzieckom, widzisz, że głodne — rzekła lisica chłopu swojemu, który się iskał, siedząc na przyjamiu.

Obejrzał się nieładnie na nią, poczem złagodziły mu się oczy, gdy je powłókł po lisiętach, tarzających się u kolan matki.

— Tu i człowiekby nie nastarczył — począł mruzczyć. — Dopierom wczora przyniósł gęś, musiałyście za wodę po nią chodzić, i już nie staje. Jak tak będziecie gazdować, to się dogazdujecie niewesołego końca, przepowiadam., Teraz o żywinę coraz trudniej, ludzie stali się postroźni...

— Nie bajdurz — przerwała mu lisica — ino się zbier z te ziemie i idź poszukać co, bo wnet będzie polednie.

Lis się przecignął, i ziewając spojrział okiem w górę.

— O, jeszcze słońko nie wyszło nad Gronie...

— Tak gadaj — szczeniła lisica, złemi oczami patrząc — tak gadaj, że ci się nie chce. Wołałbyś leżeć. Całemi dniami byś leżał. A żywna sama spadnie, jak szyszka pod nogi. Może byś chciał jeszcze, żeby ja z dzieckami znośiła ci pod nos wszystko — co? Pańskibyś miał żywot.

— Et, nie trzeszczałabyś... Co ty wiesz, kielo się trza nałazić, zanim sie co zdybie.

— A tybyś chciał, żeby ci samo do gardła wpadło. Letkobyś se chciał żyć. Ruszysz sie nareszcie, czy nie, ty płowy psie?! Może ja mam iść, a ty się za mamkę najmiesz? Postarałeś się o dzieciska, to sie teraz trap!

— Znam już, znam tę letanię...

Dźwignął się pomału i poszedł, nie chcąc słuchać dalszego trzeszczenia.

— Ino se wiedz, żebyś próżno nie wracał! — leciało za nim.

— Dobrze, dobrze! — mruczał, idąc. — Nima to, jak nakazywać. Ozorem obytrnąć, i już. POCO JA SIĘ TEŻ ŻENIŁ? Jakech był sam, to: znalazlech co, tom znalazł, a nie, to nie — to mi nikt z pyskiem nie dojeżdżał. Było, tom zjadł — a nie, tom się zaszył w gąszcz i przespalech dzień cały. Nikto mi poza uszy nie skowyścił.

Szedł jakiś czas zgryziony, i wcale nie myślał (stan u rodu jego dość częsty, wbrew twierdzeniom oszczerców), poczem znowu naszły go różne uczucia.

— Marne to lisie życie — biadał. — Szczęśliwy człowiek! Ten se u siebie w domu kury chowa...

Naraz przyszło mu do głowy:

— Czyby sie też i u nas nie chowały? Trza spróbować. Żeby to dostać parę żywych... Już bych sie ofiarował dzień pościć na tę intencję. Ba, kiedy to strasznie mdłe, zaraz w łapach zdycha, choćbyś ją i najdelikatniej ujął pazdurami...

Idąc, rozmyślał nad tym pomysłem i uśmiechał się do tego widoku, jaki mu wyobraźnia przedstawiała.

... Pasą się koło jamy. Pasie ich się cały kerdel. Czarne, białawe, siemieniate... Dzieciska swawolą z niemi — niby straszą je, jak koty młode, ale żadne się nie śmie tknąć. Ociec zakazał. A on se leży na przyjaniu i cieszy oczy tym obrazkiem...

— Żeby sie jeno chciały chować!... Ale co by nie chciały? — pocieszał się. — Wytłumaczy sie im, że i ludzie nie lepsi i nie dla ładnych piórek je chowają. A poszanowania nigdzie takiego by nie miały. Z miłościąby sie koło nich chodziło... Ino jak wytrzymać, coby sie nie tknąć? Człowiek potrafi, bo cóż, i trawę może jeść...

Dla zaokrąglenia tych przedumywań dodał se jeszcze w myśli:

— Trzeba bedzie ten pomysł przemyśleć przy czasie. A tymczasem musi sie jeszcze starego zażywać sposobu...

Zatrzymał się i począł się zastanawiać, w którą stronę się udać. Za wodą wczora był, to tam pewnie dziś strzegą.

— Dziwnie nieprzewidujący ludzie...

Najporeczniej byłoby do chałup pod lasem, ale dużo niebezpiecznie, za blisko jamy. Trzymał się starej zasady, i ludziom znanej: „Lis koło swojej nory nigdy kur nie dusi“. Od pradziadów ród jego, w tej okolicy mieszkający, trzymał się tej zasady; jak z tamtej strony góry miał osiedle, to tu chodził polować — a jak zaś tu się sadowił, to po tamtej stronie polował. Wszystko zaś nato, aby czleka zmylić, gdyby chciał

swoich szkód rzekomych dochodzić na lisim rodzie. Tę zasadę jakiś pra-lis z przezorności mądrej ustanowił, i potomkowie jego trzymali się jej święcie, choć, odkąd ludzie o niej się zwiedzieli, nie miała już praktycznie żadnego znaczenia. Była to tradycyjna przezorność — bez waloru.

Więc i nasz poczciwy lis nie myślał zmieniać zwyczaju: że tu osiedle miał, postanowił iść na tamtą stronę. — Daleko wprawdzie, bo trza obejść kołem całą górę i drugą stroną wrócić, ale widoki są...

Podumawszy niedużo, wybrał drogę dłuższą przez przylaski, aby się niepotrzebnie z nikim nie spotykać. Długą chwilę biegł w ciszy — las poczynął już rzednieć — wtem zatrzymał go szmer; pojrzy w górę, bo szmer oczami prawie umiał łapać, i widzi wiewiórkę czarną, jak se siedzi na drzewie i pluje z wysoka, życząc mu „szczęśliwych łowów“.

— Dałby ja ci szczęśliwych łowów! — mruknął — żebyś nie była tak wysoko...

Udał, że coś sobie koło ogona poprawia, aby zaś nie myślała, że się dla niej zatrzymał, poczem spokojnie ruszył dalej.

Idąc myślał z powodu tego wypadku:

— Poco też Pan Bóg niektórym stworzeniom dał taki talent, że mogą po drzewach chodzić, abo i w powietrzu latać? Jak i jastrząb... ten mi kurę, com ją upatrzył sam, z przed nosa weźmie, i lećże za nim! Niesprawiedliwość na tym świecie...

Ale wnet przestał bawić się myślami, bo już przylaski się zwęzwały, trzeba było baczyć pilnie

na wszystkie strony. Przytem biegnąc, z przyzwyczajenia raczej niż z umysłu zaziarał pod jałowce, czy tam zając gdzie nie śpi albo jaka żywina skrzydłata. Ale nic ciekawego po drodze nie zauważył.

Skoro przylaski się skończyły, pomykał dalej potokiem, a wreszcie i potok się urwał, trzeba było potoczkami podkładać się nieśmiało ku górze. Ostatni z tych potoczków tracił się prawie pod osiedlem. Długo też w nim u końca nasz lis się namyślał, nim się odważył wyjść na równe pole. Naprzód oczyma zwiedził otoczenie, poczem słuch posłał wokoło na zwiady — i skoro nic znikąd nie zauważył niedobrego, ostrożnie wyszedł na widok.

W bliskości stało osiedle, ale żywej duszy nie było słyhać. Słońce prażyło; nasz lis też pomknął pod sad ku cieniowi, stąd się rozgląda uważniej — ani słychu. Wreszcie dobiega jego wyteżonych uszu dalekie jakieś gdakanie stłumione, jak z poza sześciu ścian. Już znał tę nutę ciemną, tak miłą uszom, a tak bolesną z oddalenia sercu. Chciałby ją zbliższa usłyszeć... Podszedł ku ścianom, obszedł je, dopokąd zdołał, nadsłuchiwał, ale nuta gdakania nic się nie zjaśniła. Ustał, uprzebierał nogami, nasłuchiwał się, aż lzy mu do oczu nadeszły, wreszcie rad nierad zabrał się i poszedł w stronę sąsiedniego osiedla.

Idący dumał:

— Dziwni ludzie... Niepotrzebnie kury do kojca zamykają. Kto widział! Ani powietrza, ani wody... One im tam do jednej wyzdychają.



W tym sensie rozważał chwilę, poczem zdwoił baczność, bo już osiedle drugie wystąpiło. Zachylił się pod miedzę i ostrożnie bardzo się podsunął.

Widzi... Kury na polu się pasą... cały kerdel... Ba, ale pasterz przy nich; pilnuje, obchodzi, zgania, ani na chwilę nie spocznie.

— Też rozum! Kto widział kury paść, jak owce... A jakie one ładne, nietrwożliwe! Ej, żeby tak bliżej...

Napatrzył się z pod miedzy na nie, nawzdychał się niemało, i rad nierad zabrał się ku następnemu osiedlu.

— Tam się już może poszczęści, jużby był czas... Dzieciska głodne czekają — pojrzał na słońce — już południe...

Zachylając się poza wysokie miedze, tak, że jeno szczyty dachów mógł widzieć, zapomykał się ku trawnikom. Miedza się właśnie kończyła. Wychylił łeb ostrożnie — i aż mu serce z radości zadrgało.

Widzi... kury się pasą na trawniku... nikogo przy nich... Mierzy oczyma przestrzeń, dzieląca go od tych kochanych stworzeń. Trochę za dalekawo... Żeby podeszły nieco bliżej... Namiętnia je oczyma — całym pragnieniem, całą wołą, wysyłaną ku nim przez rozkochane oczy, stara się je przywołać ku sobie. Szczególnie jedna mu się spodobała... puszysta, duża, siemięniata... Do tego koloru miał zawdy słabość niejaką. Więc uśmiecha się do niej miłośnie, prawie że tkliwie... Naraz któraś z nich, głupia, ostrzegła. Podniosły wrzask i w nogi... Rozzłoszczony tem,

wyskoczył i puścił się za niemi... W te razy wypadł pies od chałup z takim okropnym charkiem, jakby co najmniej wieś palono, i wprost, naoslep pędzi... „Zjadłeś djabłów!... Cóż głupiemu stać na drodze?“ — pomyślał lis w tym momencie i wartko zawrócił nazad.

Wnetki dopadł potoczka, pomknął nim wdół i zatrzymał się dopiero, skoro owo charczenie nieprzyjemne ścisnęło.

Zły był na siebie, że się dał strachowi przejąć, ale większa złość jeszcze porywała go na wspomnienie tej mordy charkliwej.

— Bogdajby ci się padło suchemi tarkami żywić! Psie głupi, nieokrzesany...

Serdecznie nienawidził tego podłego plemienia, które, jak podanie niesie, miało jednego pra-ojca z rodem lisiem, a potem się zaprzedało na służbę do ludzi.

— Poco oni to żywią? Ani szczekać nie umie ucziwie, ani słuchu nijakiego nie ma, nic nie ma, coby się mogło podobać.

W tem podobieństwie złościł się, wypoczywając, wreszcie smętek go naszedł razem z cieniem, który od smreczków się dłużył.

— Słonko spada... Cień rośnie... Dzieciska tam już wyzierają... Matka się będzie złościć, że mnie tak długo nie widać. Niechże se idzie na drugi raz sama, niech się dowie, jak to legutko przychodzi. Chciałech przecie — ale trudno — nie poszczęściło sie. Jak i teraz... Taka dobra sposobność... i na nic — musiała ta psia morda przeskodzić. Bestji dadzą żarcie, przyniesą pod gardło, to sie jej zdaje, że nikt nie potrzebuje

jeść. Żeby ja cię tak dostał... wziąłby ja cię aj, wziął na polewkę!...

Gwałtem myśl jego do psa powracała, a tu trza było coś postanowić, bo śródwieczerz się zbliżał. Zbaczył sobie, że jeszcze jest jedno osiedle. Nadzieja się przywróciła.

— Trza ostatniego szczęścia popróbować...

Zebrał się i ruszył w stronę, gdzie miarkował, że chałupy stoją. Dojrzał ich dachy narzeczcie. Ostrożniej już podmykał się, wyszukując bródz, wgłębin, zachyleń, aż niespodzianie znalazł się pod sadem. Sad był okrajnemi deskami otoczony. Więc wspiął się na tylnych nogach i zajrzał przez szparę do wnętrza.

Bardzo dobrze. Są w sadzie... Przeczuł je już, nim zajrzał. Są stare, są i średnie kokoszki, i młode jeszcze kurczęta...

— Z tych możnaby kiedy przy czasie wziąć parkę na chów... A tymczasem którą ze starych trza będzie... i tak jej żywot nie wieczny...

Ale jak się tam ku nim dostać? Płot wysoki, szpary wąskie pomiędzy okrajkami, że ani łeb się nie przecisnie. Poczyna biegać dookoła, wypatrując otworu większego.

— Dziwni ludzie — myśli przytem — ogród bez furtki... Jakże oni tam te kury wganiają?

Nagle uczył ból okrutny — coś go chwyciło za nogę ostremi zębami. Szczęki zaciął, żeby nie szcęknać z bólu. Pójrzy — a tu łapa przednia między dwiema obęczami... W te razy słyszy krzyk: „Tuś mi!” i widzi parę osób, pędzących jedno przez drugie od izby. Szarpnął się

raz, i drugi — coraz straszniejszy ból — nie puszcza... Czuje, jak już żelazo gniecie kość... Moment — a ludzie doleca...

Więc zbiera wszystką zaciętość — i bez namysłu: chrast! zębami — ugryza nogę potąd, pokąd w żelazcach tkwiła — i w ucieki... Wszystkich sił dobiera w biegu, bo ludzie już tuż — z kijami. Na trzech nogach leci, jak na pięciu. Już, już potok — już lasek — obziera się — ludzie nie ustają... Więc dalej — dopadł lasku — nie zatrzymuje się — pędzi w potok — we wodę — nóg zgoła nie czuje. Wreszcie w przylaski... Zwolnił biegu, ale jeszcze niebardzo dowierza, dobiera sił, byle dalej, byle jak najdalej... Wreszcie już stapać nie może — ból mu poczyna dokuczać. Siada na mchu i poczyna opatrywać nogę...

\*

Ciemniło się już na dobre, kiedy nasz lis, kulając na trzech nogach, dowlókl się do miejsca, skąd zboczył był przed południem na prawo w przylaski.

— Szczęśliwych łowów! — doleciało go z wysoka.

Pójrzy — ta sama wiewiórka czarna śmieje się, siedząc na drzewie, i puszcza mu na plecy lupiny ze szyszek.

Udał, że nic nie słyszy, i powlókł się dalej, stękając ciężko, boleśnie. Wreszcie dowlókl się ku jamie.

— Tak wczas?! — wrzasnęła lisica i, widząc, że nic nie niesie, ze zębami do niego: — Cożes

przyniósł? Swoje ścierwo zdechł?! żeby cię byli doreszty... psie płowy...

Uchylił się przed jej złością i nie nocował w jamie. Wyszukał sobie w gąszczu kąć najciemniejszy — tam siadł na zdrowych trzech nogach i, obfite łzy wylewając, płakał.

— Ludziom przecie jest lepiej — myślał, ustątkowawszy się w bólu. — Nie potrzebują szukać codzień na wieczерę tej głupiej kury...

## ŚWIT NAD LENĄ.

Przedziwne są brzegi Leny — zwłaszcza w jej średnim biegu u wpadu rzeki Jelikty, gdzie jej wody przeczyste roztaczają się na wiorstę wszersch i więcej i mienia się olbrzymiem zwierciadłem na podobieństwo zatoki...

Fioletowa ściana skał wapiennych obejmuje tę masę wód zakoleniem łagodnym od wschodu, a zasię na południe i ku zachodowi, równo od zwierciadlanej krawędzi, ścięte się step nieprzemierzony: roztacza łąki o bujnych trawach, łąki o wszystkich barwach, jakie są na ziemi, wśród nich stawy trawskami zarosłe, jeziora lśniące, na parę wiorst rozlane, mokradła z kępkami drzew, laski rzadkich brzoź i limb potraconych — również przerozmaita, błękitem oddalenia na zachodzie o fiolety skalnego pobrzeża rwącej Jelikty oparta, a na południu o stopy zmroczniałej, w omgleniu słonecznym szarzejącej taigi...

Przedziwny kraj...

Gdyby nie sroga syberyjska zima, która ścina w lód błękitne welny Leny i śmiercią mroźną wszystko żywoistne na długie miesiące przysia-  
da, obraz tej okolicy pozostałby niemacony we wspomnieniu zesłańca, gdy go od niej setki mil

szczęśliwie dzieła, jako jeden z najcudowniejszych obrazów południa...

Zato lato, choć krótkie, tem zawzięciej rozkuwa z kajdan zamrozu śpiące życie, wywołuje z ziemi, nagle rozpalanej, kwiaty o stroju niesłychanym, ciska na obudzone bogactwo barw, oswobadza na radość życia wszelkie stworzenie tej ziemi, ściąga chmury przeróżnostrojnego, różnemi głosy krzyczącego ptactwa...

Krótki — między długimi letargami zim — krzyk i płomień życia.

W jedno takie płomienne popołudnie, po wysokim wschodnim brzegu Leny, przeciw jej biegu, niósł czarny konik tunguski Waclawa, jednego z owych wielu, którzy na tę Riwierę syberyjską dojeżdżali „etapami“.

Jeździec uzbrojony był w długą strzelbę i nóż, jakich myśliwi Tunguzi używają. Dumnym był ze „swego“ konia, z nabytej od Tunguza broni, i z przyjemnością prawdziwą myślał o tym zawodzie swobodnym, który od półtora roku z powodzeniem korzystnym uprawiał.

Jeden niedźwiedź, którego przy pięcio-osobowej obławie położył, trzy jelenie, łoś, pięć rogaczy, setki gęsi i kaczek jako też drobniejszego ptactwa, które czasu różnego ustrzelił, ugruntuowały sławę jego myśliwską w „komunie“, jak ideowo zwali swoją grupkę, osiadła na „czasowy pobyt“ w nadbrzeżnem tunguskim siole.

Zważywszy, że z całej „komuny“ nikt prócz Waclawa nie był sposobnym do myśliwskiego rzemiosła — (próby, jakie przedsiębrało paru,

miały nieszczęśliwe skutki) — „rada komunalna“ na niego włożyła obowiązek dostarczania zwierzyny i ptactwa do wspólnej kuchni.

Zgodził się ochotnem sercem, jako że waleśwanie odpowiadało jego próżniaczej, a przedsiębiorczej naturze; mógł też przy tem zajęciu dniami całemi przebywać poza siołem i nie widzieć aż do mdłości uprzykrzonych twarzy towarzyszy.

Z początku „komuna“ zapowiadała się świetnie. Ludzie, wyrwani z samotnictwa, szczęśliwi już byli przez to, że się mogli wygadać. Do wspólnego dobra składali prócz materialnego mienia swoje najlepsze strony: humor, uczynność, ustepliwość, nawet nierzadko delikatność uczuć. Wspólne obrady, np. nad kwestją obiadów, odbywały się tak zgodnie, jakby wszyscy od urodzenia w komunie wyrośli.

Wkrótce jednak harmonia poczęła się psuć. Za duże były różnice wyrwanych z różnych światów ludzi, iżby je podobieństwo losu mogło stłumić. Indywidualne zdania, przekonania poczęły się ze sobą ścierać, i ze słownych utarczek poczęły się wyradzać kłótnie.

Dopieroż gdy przyszły na stół „programy“ i „principia“! Partje, z których każda miała tu jednego przedstawiciela, znenawidziły się tak, iż ledwo obiad je łączył. W nienawiści pożywali każdy kęs daru Bożego. Stronili od siebie, jakby jeden na drugim oznaki trądu odkrył.

Był przecie jeden moment... Waclaw uśmiechnął się mimowoli na przypomnienie tej chwili.

Było za siołem nieopodal wzgórze, skąd rozciągał się widok na daleki zachód. Tam to nieraz tęsknota go wywoływała. — Stoi raz zapatrzony

na czerwień zachodu — słyzy szmer — obciera się — a tu się wlecze jeden z „komuny“, później drugi, trzeci... I tak, stroniąc od siebie, na jednym Wzgórzu Tęsknoty wszyscy się naraz znaleźli. Wstyd ich przed sobą przejął — każdy starał się jakiś bardzo racjonalny powód swojej obecności podać. Później już każdy inne godziny dnia na to wzgórze wybierał.

Był tam cmentarz zesłańczy; kopców kilkanaście, brzózek parę, i jeden krzyżyk drewniany na mogiłce, na którego ramieniu wycięty był dwuwiersz — słowa, jak ten krzyżyk, proste:

„Spij ditia — żyźń taska.“<sup>1)</sup>

Takie proste, a wszystko mówiące. Wryły się na zawsze w pamięć Waclawa, jakby na sercu jego były wycięte. Coś bliskiego bardzo, ojcowskiego słyszał w tem czterosłowiu. Nieraz upewniwszy się, czy żaden z towarzyszy nie nadchodzi, padał na tę mogiłkę i szlochał, jakby najmilsza jego dziecina była pod tym krzyżykiem schowana. A gdy zorze czerwone na zachodzie gasły, męką tęsknoty biegł za nimi przez ziemie-kraje aż ku Wiśle...

Ścieżyna nieznaczna wśród fioletu wapienia odbita ledwo parę sążni od ściany prostopadłej brzegu, podnosiła się ku górze.

Koń szedł przemyślnie po śliskiem oskału i umiętnie omijał zdradliwe rozpady.

<sup>1)</sup> Spij dziecię —  
Tęsknotą bowiem jest życie.

Waclaw z czułością poglaskał jego szyję. Zalety jego niezwykle miał już sposobność poznać. Nabyto go przed dwoma laty od Tunguza-sąsiada za pieniądze „komunalne!“ Był więc własnością „komuny“. Na nim odbiła się najwięcej niezgoda jej członków, bo każdy rościł sobie na różnem uzasadnieniu jedyne prawo do niego, każdy chciał na nim jeździć. Koń biedny tracił czasem swoją orientację, myśląc ze smutkiem, że jest osłem. Mimo to jednak, iż dźwigał na swym grzbiecie różnemi czasy tyle kłócących się ze sobą niegramatyczności: es-erów dwóch, es-deków kilka gatunków, bundowca-Jozue i oburęczną P. P. S. — nie stracił jeszcze rumaczy zapędów. Odkąd zaś Waclaw z racji swego myśliwstwa zaanektował jego grzbiet dla siebie, koń wracał prędko do swych cnót tunguskich. — Niósł lekko po trudnej ścieżce, jak za dawnych czasów.

Wkrótce wydostali się na wzniesienie.

— Jakże pięknie! — wyrwał się głośny zachwyt z piersi jeźdźca, gdy rzucił oczyma na lewy brzeg. Wstrzymał konia i patrzył.

W międzywidlu przestrzennem, jakie utworzyła Lena z wpadającą do niej na północnem zachodzie Jeliką, której wał piany srebrnej przy wpadzie ze wzniesienia widać było, rozścieliła się cała tęcza barw — od piasku różowego przy brzegu, aż do błękitu oddali.

Słońce, wiszące na połowie zachodniego skłonu, zalewało całą dolinę pyłem świetlistym, który zamgliał one pasma tęczy i zacierał granice barw.

Kępki drzew i rzadkie laski wyglądały w tem omgleniu jak zatopione w jeziorze różowem ma-

jaki drzew i lasków. Jedynie tafle bliższych stawów, smugi dalszych i linijki najdalszych jezior błyszcząły na tej przestrzeni jako odstrzelanie słońca.

A zaś od stóp wzniesienia roztaczały się szeroko wody Leny, daleko widoczne na południe jako jeziorna zatoka.

Na ruchliwych, szerokich falach łamały się zwierciadła barw — od granatu ciemnego aż do zieleni jasnej i opalu.

Czasem ponad majestatem wód, niby słoneczny pocisk, przestrzeliła powietrze rybitwa. Zresztą prócz głębokiej, tajemnej mowy fal nic nie maciło świętej ciszy światła.

Na dalekiej łące na południu widać było zdrobniałe oddaleniem stado pasących się swobodnie, połyskliwych koni.

Zachwył Waclawa, gdy wzrokiem ten obraz chłonał, zamaçał jedynie żal, że nie ma obok siebie nikogo z najbliższych, z kimby mógł radość podzielić, ani też dłoni drogiej, którąby mógł w milczeniu uściskać.

Nim ruszył dalej, pomknął jeszcze spojrzeniem wzdłuż lewego pobraża na południe, gdzie na krańcu równiny obok światła wód tlił się punkt czerwony, jak iskra przygaszona. Daleki jeszcze trud do chaty Jana. Dopiero połowa drogi. — Porachował w myśli wiorsty.

— Przed wieczorem dojadę.

Ścieżka sprowadzała po schyleniu — brzeg się nieznacznie poniżał, i o parę wiorst dalej wychylał się jego przekrój dłużny zaledwie parę sążni ponad wodę. Natomiast na lewo od drogi

wydzwigwały się zbocza, pokryte przerzedzonym lasem, z których wyskakujące gdzie niegdzie skały i ściany wapienne spychały ścieżkę ku samej krawędzi łądy.

Droga wiała się znacznie; to zbliżała się ku wodzie na wapienne bruki, to odchyłała się na trawiaste łączki, gdy zbocza stopy swe cofały, a rozszerz czyniła się większa. Mimo to Waclaw wciąż przed oczyma miał świetliste wody, zwiężające się ku południowi, i różowy pas lewego brzegu.

Kotlinę tę przestrzenną na południowym zachodzie, gdzie gasło światło rzeki, zamykało zsińniałe pasmo gór, które dziwny cień rzucało na radość całej doliny; nawet przez gęstą sreżogę słoneczną przedzierał się zwycięsko czarny smutek tajgi... Nieznacznie jako mgła wdychana wsączzał się w chwilą upojone serce — i duszy dziwnie się widziało, czemu gaśnie jej radość, dar słońca.

Napróżno Waclaw mknął oczyma po barwach wód, mieniących się pod czerwieniejące już słońce tęczkami, jak roztoczone skrzydła archanioła, napróżno włóczył spojrzeniem po spłomienionem pobrażu lub dźwigał je ku zorzom nieba — nie wróciła radość zgaszona.

...Żyźń taska... — dzwonił smutek tajgi.

Więc to jest ten ptak czarny, nieodłączny towarzysz zesłańca?... Przez sto zdradliwych siodeł, misternie rozumem utkanych, jak przez pajęczne siatki się przedziera; z oddali szczęsnej zapomnienia gołębiem pamiętającym z wieścią okrutną niechybnie na czas przybywa; naprzeciw

słońca i duszy darzonej — chmurą trwożącą zawisa; każdą chwilę radosną skrzydłem czarnem jako liść wiatrem porywany zwiewa, jako krzyk mewy zbłąkanej we wichrze jest jego krzyk rozpaczny, wywołujący ze życia; jedynie na mogiłę zlatuje pełen współczucia, liśtonie skrzydłem zimną darń ochładza — wiew jego wtedy jest jako szepet matki:

„Śpij, dziecko...”

O ptaku-smutku! O ptaku-tęsknoto! O duszo-tajgo szumiąca!...

Zwoływał wszystką wolę, wszystkie potraczone światła, aby nie dać serca w szpony smutku, który go nieraz na długie dni obezwładniał. Nawodził na pamięć różne przydarzenia, wyraźne sprawy, ludzi...

Począł wkońcu z zajęciem myśleć o najbliższym na tej przestrzeni osobniku, o starym Janie-rodaku, który mieszkał w samotnej chacie na krańcu rozwidła, na lewym brzegu rzeki.

U niego zwykle miewał nocleg, gdy w tych stronach polował.

Stary lubił myśliwych; sam nie mogąc dla starości używać z pożytkiem strzelby, radami doświadczonymi im służył: jakie wybierać miejsca na zasiadkę, którymi szlakami zwierz grubszy chadza, gdzie go najlepiej podejść i t. d. Wzajemian za życzliwe rady i gościnę myśliwi zostawiali starszokowi zawsze jakąś część upolowanej zwierzyny.

Miesiąc już, jak starego nie widział. Jak go też przyjmie?

Stary dziwaczał czasem. Nachodziła go chandra — wtedy zamykał się w chacie, albo za-

szynał się gdzie w tajgę i tygodniami się nie pokazywał.

Nie dziwota — w tej pustelni mógł zdziwaczeć na dobre. Wszakże i on sam, młody, miewał takie psie czasy. Było — gdy zima zdawała się w nieskończoność trwać (a mieszkał wtedy osobno w chacie starego przybysza-Tatara) — kładł się na piec, naciągał skóry na siebie i leżał tak tygodniami bez nijakiej zgoła myśli. Nie miał nawet woli jeść — tyle co go przymusili. Często gospodarz, poczciwy stary Osman, chcąc wyrwać go z tej martwoty, siadał na trójnożku naprzeciw z fiaską gorzałki w ręce i kusił go, namawiał oczami i gestem. Napróżno. Nie dawał się skusić. Osman już wtedy kiwał ze zwątpieniem głową i odchodził przygnębiony.

— Och, ta okrutność zim!... Długoż to jeszcze?...

Uczuł, że znowu szpony po serce jego sięgają. Począł więc pilnie myśleć o celu podróży.

Jeleń na pewno się trafi. Schodzą w tym czasie z tajgi ku jeziorom. Ptactwa moc. Posiedzi z tydzień w chacie Jana. — Pomacał się po kieszeniach. — Herbata, cukier jest — stary to lubi.

— Czemu on tu siedzi w tem odludziu? Nic go przecie nie więzi. Dawno już wolność ma. Chyba starość...

Zbliżył się tak, jadąc wciąż ponad wodę, że mógł już dach i ścianę chaty na przeciwnym brzegu, choć woddali, rozpoznać.

— Czy go tylko zastanę? — pomyślał. — Czy nie poszedł gdzie wgórę rzeki za rybkami? Na

94  
się starszerek łakomy, a ta się bardziej górnej wody trzyma.

To przypuszczenie strapiło go. Musiałby noc spędzić na prawym brzegu, co żadnego nie przedstawiało powabu. Łódka na tej stronie nie ma...

Wpatrzywszy się, zauważył pasemko dymu, wysnuwające się z przed chaty. Więc stary jest. Chwała Bogu. Popędził żywiej konia.

Słońce prawie spierało się na widnokręgu krwawem kołem, kiedy dojechał celu. Z brzegu widać było wyraźnie chatę naprzeciw i dwóch ludzi przed progiem, pomniejszonych znacznie odaleniem.

Podniósł się na strzemionach, przyłożył dłoń do ust i huknął w stronę chaty. Lecz głos przepadł zaraz przy brzegu, jak plusk kamyka — połknęły go olbrzymie nurty.

Chwilę stał, zawiedziony, myśląc, jaki dać znak o sobie. Wtem zauważył, iż jedna postać odrywa się od chaty, zdąża nad brzeg, przystaje i przyłożywszy dłoń do czoła, patrzy ku niemu.

— Kochany stary — szepnął. Porwał czapkę i jął machać ponad głową.

Za chwilę łódka przecinała wpoprzek fale Leny, kierując się w stronę jeźdźca.

Wacław tymczasem zlął z konia, zdjął z niego siodło i poklepawszy go po szyi, puścił go na wolną paszę.

Gdy zeszedł nad wodę, łódka już była blisko. Widać było wyraźnie postać przewoźnika. O twarzy spalonej słońcem i mrozami, o długiej, białej brodzie, z poważnymi ruchami ciała i rąk, gdy wiosłował, na tej szerokiej wodzie, krwawe-

93  
mi blaskami zapalanej, wyglądał jak przewoźnik Charon.

Niezadługo Wacław znalazł się przy nim na łódce. Przywitali się serdecznie.

— Co słyhać, ojcie Janie?

— Chwalić Boga. Wszystko po staremu. Rodak zapewne po zwierzyne?

— I to po duży zapas.

— Czas dobry. Może się udać. Wiem ja o jednym miejscu...

— Tam, gdzie był ostatnim razem?

— Nie, w innej stronie. Zwierz co jakiś czas zmienia drogę. Ma i on swoją rachubę.

— Miesiąc to już, jakeście mię, ojcie, przewozili. Nie zdarzyło się co tymczasem?

— Cóż się tu może zdarzyć? Ot, może być takie zdarzenie, że rodak stanie nad wodą, i nie będzie go miał kto przewieźć. Stary już nie wyjrzy przed próg.

— Czerstwiście jeszcze, ojcie.

— Duch spróchniały. Zatem i ciało się rozsypie.

Byli już na połowie wód. Chata się przybliżała.

— A któż u was w gościnie?

— Moskał, posieleniec.

— Ach ten... Czegoż on?

— Myśliwskie prawo dla wszystkich. Czas dobry. Przybył zapolować.

— Ja chyba pójdę sam na zasiadkę...

— Lepiej razem: wiedzieć, gdzie on... Tun-guzi mówią — zniżył głos — że on niby przypadkiem, trafiało się, i myśliwego ustrzelił. Jemu to



nic. Jak ślinę przelknąć. Na zbrodniarza on patrzy.

Wkrótce znaleźli się na brzegu.

Stary z pomocą Wacława wyciągnął łódkę na piasek.

Podeszli ku chacie, gdzie przed progiem tlił się złożony ogień.

Brodacz leżał na ziemi koło ognia. Za ich najdejsiem podniósł głowę i odmruknął coś na przywitanie.

— Rozgoście się — rzekł Jan — a ja pójde popatrzeć w saki, czy się co nie złapało. Wędzona rybka na lecie nie ma smaku.

Wacław wręczył mu przyniesione skromne zapasy herbaty, cukru, soli.

— Ho! to dziś prawdziwe święto — ucieszył się staruszek i dziękował. Poczem udał się ku wodzie.

Wacław usiadł przed chatą na kawałku drzewa. Miał przed oczyma wody Leny i przeciwległe zbocza, płatami lasu i trawą pokryte, z rzadkimi ściosami skał wapiennych.

Równinę cień począł zasnuwać. Światła na wodzie krwawe przygasaly — fale na szerokich grzbietach poczęły przybierać szklące jak smoki połyski przy czarnych zgurbach cielsk.

Zbocza jeszcze były w promieniach słońca. Trawy i płaty lasu złociły się bogato, a lby wapieni płonęły, jak olbrzymie fioletowe ogniska.

Wreszcie i od stóp zboczków począł cień nieznacznie a szybko iść ku górze — niezadługo czubki jeno paliły się jak włosy płomieni — i te zgasty. Zmierzch począł szybko zapadać.

Wacław zbliżył się do ognia.

— Towarzysz na kaczuki? — zagadnął leżąc ciego, nie wiedząc, czemu go towarzyszem nazywał.

— Co się zdarzy.

— Pójdziemy razem o świcie.

— Jak wola pańska — odparł brodacz, kładąc nacisk wyraźny na ostatnie słowo.

Jan wrócił, niosąc na nareczu snopek gałęzi, w rękę pęk związanych ryb.

Wkrótce ogień buchnął jaśniej, podsycony suchymi gałęziami.

Gospodarz, ustawivszy nad płomieniem kociołek z wodą, począł na odgarnionych węglach piec z powagą przyniesione ryby.

— Siga najbardziej lubi ogień — prawil. — Wędzona lub suszona nie różni się od innych. Te nie duze. Czasem trafi się na łokieć i więcej.

Obracał je umiejętnie, obwachiwał, czy już mają dość, wreszcie układał je na skrzyżłali cienkiej i stawiał przed gośćmi. Sam spożył jedną.

Poczem herbatę rozlewał. Gościom podawał w szklankach, sam zaś pił w okrągłej chińskiej czarce, która prawie w dłoniach się mieściła.

— Do szklanki — mówił — nie mogę się przyzwyczaić. Czarka ma tę zaletę, że choć gorący czaj nie parzy. Chińczyki, oni to wiedzą.

Po skończeniu wieszerzy wycierając szklanki, zwrócił się do siedzących:

— No, panowie. Myśliwskie prawo. Czas spać. Musicie ruszyć, nim dzień zacznie, chcąc być na miejscach przed świtem.

Brodacz odsunął się od ognia i owinawszy się w szynel, począł wkrótce chrapać.

Jan dawał rady Waławowi:

— Pójdziecie brzegiem starego koryta, potem przez łąki i mokradła. Tak rozumem kierujcie, coby na groble natrafić. Przechodziliście tamtędy. Jak staniecie pod lasem, wtedy Moskalka na prawo, a sami przejdźcie przez wzniesienie na kraj doliny, nad jezioro. Tam raj na ptactwo. Tajga też zaraz na lewo. Jeleń o świcie rad zlatuje ku wodzie... A teraz niech się rodak przepi.

— Coś chciałem się was, ojcze, spytać... Cemu do kraju nie wracacie?

Stary cisnął ku niemu spojrzenie trwożliwe, przygarbił się i milczał. Dłoń mu tylko poczęła się trząść, w której trzymał wytartą szklanekę.

— Przecie was tu nic nie więzi. Wolny przed wami szlak...

— Dużo rozpowiadać...

— Długoż wy tu już, ojcze?

— Czterdzieści lat.

— Kęs czasu...

Stary, pomilczawszy chwilę, począł:

— Do kraju, powiadacie... Czekał ja tej chwili, jak zbawienia. Tą jedną myślą żył. Lata miały. Różnie było. Aż przychodzi wieść: amnestja. Jaki taki zbiera uciulany grosz, pakuje się i wraca. Wielu jednak tu się już zagospodarzyło, rodziny pozakładało, ba, profesje haniebne, ot, ludziska. Tęskni, tęskni, powiada — a potem wychodzi świnia. Jak na ten przykład ten... znacie — kabak założył, szynkuje, wódka rozpaja ludzi, lichwiarzem się stał na okolicę. Mówię o tem ze smutkiem, bo i ja sam...

Więc jak nadeszła ta wieść, tak ja dumam... Rodziny ja tu nie miał, nic mię tu nie trzymało, ale po prawdzie nie było o czem wracać. Co lepsze, to ucieka — ledwo samym na powrót starczy — a iść o pomoc do tych, co dobrowolnie tu zostają... Wiadomo, jacy. Nie — dumam — inny sposób znaję. Wziął ja się do lepienia garnków. Zarobek niezły. Za jakiś czas uciulałem sumkę sporą. Myślę: wystarczyłoby. Wtedy zaczynam rozważać: do kogo ja wrócę — rodziny niema, nikogo, dawno wszystko już pod ziemią, od lat listu żadnego — obcy do obcych?... Tak z tego poszedł ja w kabak i tydzień pił. Przepiłem wszystko, do kopiejki.

Wytrzeźwiawszy, poczynam się karcić. Znowu do pracy, do lepienia. Zacinam się i składam. I znów po jakimś czasie to samo. Przepiłem wszystko doostatka — ubranie nawet, sprzęt kuchenny... Jużem kabaku nie opuszczał. Robotność odleciała. Począłem żebrać, rzekomo na powrót, i przepijałem uźebrane grosze. Och, nisko spaść może człowiek, gdy go Bóg opuści.

Aż raz... przyszło opamiętanie. Stanęło przede mną Sumienie — tak wyraźnie, jak was tu widzę. Och, groźne!... Rzekło mi: „Żeś po trzykroć zgrzeszył przeciw duchowi, nie wejdziesz do ziemi obiecanej. Nie zobaczysz kraju swego, na wieczne skazan wygnanie“. Jak kamień te słowa spadły mi na serce. Przestał ja pić, jak uciał — i tu od ludzi się wyniosłem, aby się ustrzec pokus. Ot, i żyję, póki śmierć nie wybawi. Bóg może daruje winy i dozwoli choć duszy spojrzeć z góry na ziemię swoją...

— I możecie tu wytrwać? Zimy srogie...

— Bóg jakoś spomaga. Nieraz od wilków wybawi. Ot, ściany pazurami zdrapały, dobywając się. Rybek nawędzą, nasuszę — Tunguzi saniami po siano dojeżdżają, to za pomoc herbaty, soli zostawią... Jakoś się trwa. Och, zimy!... Te srogie nieraz bywają... Ale myślę: śmierć wkrótce wybawi...

— Miałby ją prośbę do rodaka... — ozwał się po chwili przerwy. — Wróćcie wnet do kraju. Grudkę ziemi prześlijcie pocztą ze ziemi mojej, płockiej... Niech się z prochem moim pomiesza. Prosił ją już wielu, przyrzekali, ale pewnie, wróciwszy do kraju, zapomnieli, albo też poginęli, zanim...

Milczenie długie nastąpiło. Wacław, odchyłony od ognia, patrzył przez mrok w twarz Jana, który siedział nieruchomo, zapatrzony w ogień — w przeszłość swoją... Twarz mu się pomarszczyła, przygarbił się, jakby dziesiątek lat przez tę chwilę wspomnień mu przybyło.

Ocknął się po chwili, poszedł do chaty, wyniósł książkę, rozłożył ją przy ogniu i na klęczkach, do ziemi czołem pochylony, zaczął się modlić... jak Wacław wnioskował. Gdy zamknął wreszcie książkę, Wacław wyciągnął rękę po nią.

— Nie śpicie? — zdziwił się Jan.

— Nie...

Przeczytał pod blask tytuł: „Poezje Mickiewicza“. Książka była zniszczona, litery pozacierane, widać lata już była w użyciu.

— To jedyny mój skarb w chacie — tłumaczył Jan. — Nie oddałbym go za nic. Przez zimy jest mowa moją, w chwilach zwątpień — otu-

chą. Mam jeszcze jeden tom. Z tych ksiąg wyszło do mnie wówczas Sumienie...

Nie już nie zamąciło ciszy. Dowiewała tylko czasem od brzegu głęboka mowa fal.

Zdało się Wacławowi, że tylko chwilkę się zdrzemnął, gdy go zbudziła dłoń Jana.

— Czas już. Kosy nisko.

Brodacz już stał gotowy. Pożegnali starego uściskami dłoni i ruszyli. Jan odprowadził ich za chatę.

— Niech Bóg poszczęści — szepnął Wacławowi. — Wracajcie wnet. Obiad przyrządę.

Wacław puścił brodacza przodem. Szli w milczeniu. Noc jeszcze gęsta trwała. Jednak od iskier gwiazd czyniło się na ziemi żrocznawo, tak iż można było kształty przedmiotów, topiących się w pomroku, rozeznąć.

Trzymając się wskazań Jana, szli brzegiem dawnego łożyska Leny, na którego dnie spała woda, płachtą mgły równo nakryta.

Następnie wydostali się na łąki. Rosa gęsta przysiadła trawy powalone — brnęli przez nie, jak przez rzekę.

Na prawo ku północy rozciągała się i ginęła w mroku równienna przestrzeń z rzadkimi majakami drzew i wizjami mgły, osiadłej na jeziorach.

Na lewo, niedaleko czerniły się kępy i wznosiło się ciemne zbocze o roztopionych w zamroczu konturach.

Ciszę zamącał jedynie daleki poszum wód — chwilami ledwo znaczny, to znowu wyraźniejszy — i szelest oroszonych traw, przez które brnęli.

Wacław, idąc w milczeniu w tropy za brodaczem, myślał długo, co może być w duszy tego człowieka; to znowu z rozrzewnieniem przypominał historję Jana. Przytem nie mógł się opeździć przykreemu uczuciu, iż przez te ciche łąki przekrada się w towarzystwie zbójcy, aby zbrodnię jakąś pełnić. Stracił je dopiero gdy się zaczęły mokradała. Trzeba było całą uwagą baczyć, gruntować stopą powierzchnię, przeskakiwać z kopca na kopiec, wymijać, by nie uwięznąć w młacie. — Trafili na groblę wąską i szli już bezpiecznie dalej.

Doszli wreszcie do miejsca, gdzie wał lesisty, zatoczony od południa, przecinał równinę i zniżał się jakoby łapą ciemną ku jeziorom.

— Towarzysz na prawo? — zagadnął Wacław brodacza.

— Można — odmruknął tenże.

— Szczęścia życzę.

— Wzajemno.

Skrecił z miejsca i poszedł skrajem lasu; a Wacław ruszył przez las, minął wzniesienie i gdy wydostał się z ciemni leśnej, znalazł się na brzegu doliny, wąską szyją od wschodu zatoczonej, na zachód zaś daleko rozwarłej, gdzie się z równiną stapiała. Zaraz od szyi na wschód i południe dźwigała się zboczem i rosła w przestrzeń zmroczniałą czarna noc tajgi..

— To jest to miejsce — szepnął Wacław, nie mogąc się oprzeć drżeniu. Czuł na twarzy i sercu bliskie tchnienie tajgi, jako oddech żywego potwora.

Opanował się przecie; wypatrzył na skraju kępkę wysuniętą drzew, podszedł tam, narwał gałęzi, zrobił siedzisko i usadowił się pomiędzy pniami, strzelbę wziął na kolana...

— Tędy muszą z tajgi schodzić — pomyślał. — Może i parę sztuk się trafi...

Noc jeszcze trwała. Cisza taka nakaźna wisiła w powietrzu, że Wacław oddech przytłumił i zastygł w martwocie czekania. Gdy tak trwał w znieruchomieniu, a chwile ciszy jako sowy ponad nim na gałęziach posiadały, poczęły do-wiewać od strony tajgi głosy dziwne — jęki — poszumy — westchnienia...

— Tajga mówi — przypomniały się Wacławowi słowa Tunguzów. I wsłuchał się całym czuciem wgłębionem w tę mowę...

• Naprzód z dalekich — dalekich okrain jakieś echo... Ni to myśliwski róg, ni to krzyk ostatni zwierza... Stłumione oddaleniem... Zgasło.

Zaczem ze środka lasu, z piersi tajgi wydo-bywa się postępek — zrazu słaby... Nabrzmiewa bólem — potężnieje — jak młoty spadają na serce jego razy... och! och!...

Czy nie ustanie?... Czy się nigdy nie skończy?! Wieczność trwa... O jęku ziemi!... Nareszcie...

Postępek słabnie — przechodzi w ciche rżenie... Ktoś w tajdze kona!

Cyt... Szelesty... Gdzieś góra... Jakby duch tajgi u szczytu prostował skrzydła...

Cisza znów. Cisza straszna. Cisza-przerazenie.

Czy wszystko zmarło?... Taka cisza ma być, gdy wszystko na ziemi zginie — i gwiazdy odlecą. Duch przestanie szeleścić.

Nic tej ciszy wyrazić nie zdoła — słowo, myśl nawet szeleści. Młoty serca jak dźwięczą w tej otchłani!... Dokądże będzie trwać? Och, przecie...

Dźwiga się głos — jak senny pomruk obudzonego potwora. Potwór mruczy... Straszny musi być jego gniew. Któż jego głód zaspokoi? Ziemię pożre, gdy wstanie.

Zasnął przecie... Śnił mu się tylko głód.

Cóż to?... Z dalekich stron — organy... Ledwo słyszalne — wiatr przynosi... Nie — bliżej... Ton wyraźny... Och — jak nastraja duszę!

Czy to ty, duchu tajgi?... Któż tak na ziemi może grać?... Coś czarownego... Skąd organy?... Przedziwna harmonja... Podnosi się ku gwiazdom i spada niżej pojęcia, w głąb ciemną... Czy to melodia zginionych ziem — czy mających się narodzić światów?... Dusza drży z trwogi szczęścia... Więc jej przeczucia były prawdą? Jest muzyka, o której nie wiemy. O — jak się góra niesie... Odpływa... Wraca...

Nie — to śpiew słyhać... jaki wysoki! Czy to w koronach drzew — czy na gwiazdach?...

Och, ty aniele śpiewny! zleć! zniż się! Niech dusza umrze szczęśliwa...

Czyż to tylko echo było? Jak smutno... Płyńcie lzy — już nie wróci.

Szum słyhać...

Nie — to czas się w wieczność przelewa...

Więc i ta chwila jedyna... O morze wieków! Na tobie my rozbitki... Pogasły gwiazdy nad nami... O wieczny, nieskończony Mroku!

Czas odpłynął... Pozostał tylko jeden ton... O jak ubogi! Jak smętny! Z czem go porównać? Chyba z duszą, na śmierć otrutą smutkiem. Nie się się górą tajgi. Ni to melodia, ni wołanie — coś dziwnie niepojętego...

I ten przepadł.

Na niebie poczęło dzień. Gwiazdy przygasaly — niektóre już ponikły.

Dolina jeszcze była w mroku — tyle jeno od nieba rozwidniała, że się odróżnić wyraźniej dawały: szara płachta mgły, zielono-mroczne płaty łąk i czerń mająca lasu.

Cisza drżąca, jak zatrzymany oddech, zawisła długo w powietrzu — oczekiwanie radosne i trwożne zarazem przejęło całą dolinę. Widziało się przez spelzłą zaslonę mroku, iż się podnosi piersiami, wstrzymującemi dech, naprzeciw dniem...

Dreszcz zimny, jako przeczucie oddania się ziemi światłu, przebiegł wszystko żywoistne i rozemdlili się w tęsknocie czekania.

Na ziemię zaczął padać z pojaśnionego już nieba szary, sinawy pył i osiadać na łąkach, na zboczach, iż wystąpiły oczom z mroku, który je zacierał. Lecz ledwo się to stało, poczęła się na niebie rozprószać oświetl różowa od wschodu, a szary pył, osiadły na ziemi, przybrał nieznacznie barwy fioletu.

Wtedy to ze mgły, leżącej w kotlinie, dobiegł nastrojonych uszu Wacława pierwszy odzew życia: kwak cyranki.

Barwy na łąkach zadrgały, jakby potrącenie tego głosu zbudziło trawy, schylone pod rosą.

Za tem poczęły się odzywać głosy inne. Były nieśmiałe zrazu, zbudzone ze snu, pytające. Niektóre dobiegały z dalsza, z kęp jeziora, jako grzechotania ciche, niektóre zaś odzywały się, z wyrażnialą bliskością, tuż z przybrzeża. Wacław rozróżniał po głosie krzyżówki, edredonki i wiele innych, które znał jeno z barwy. Głosy mnożyły się — jedne wywoływały drugie — i pogwar zataczał coraz szersze koła na jeziorze. A to wszystko działo się pode mgłą, która ścięzała warstwą leżała na wodzie.

Dolina rozwidniała się już znacznie. Jeszcze fiolet ciemny nie spełznął ze ziemi, lecz już powietrzem jako płatki jabłonnego kwiecia spadało różowe światło i osiadało na trawach, na drzewach, mieniając się z występującą zielenią i niknącym niby cień wiotki fioletem.

Odkryły się oczom łąki, ciężkim mieniającym się płaszczem rosy przysiadłe, o plamach kwiatowych różnej barwy, przez owo rośne okrycie, niby przez szybę omgloną, majacznie przezierających.

Wysuwający z tajgi czarne łapy, cofnął się mrok, stępiony pobrzaskiem w czoło — i oszlaki mchów żółtawych, to rdzawistego piaru stały się widoczne naraz.

Wyszły też najaw z uboczy naprzeciwległej zielenie przerozmaite kształty cudaczne drzew,

wykroty, i idąca pomroką ku górze nigdy nie-  
tknięta gąszcz omszałych świerków i jodeł.

Pobrzask rozednił las i pobudził życie przy-  
czajone...

Z dalekiej gęstwi leśnej dobiegł tokot guszca.

W skraju trawiastym naprzeciw ozwał się  
cietrzew.

Wreszcie i dzięcioł począł pracować. Z nie-  
daleka słyhać było jego miarowe kowanie.

Zaczem i inne ptactwo leśne poczęło dawać  
znać o sobie.

Pode mgłą na jeziorze życie już wrzało...  
Kwaki, gęgania, turczenia rozszerzały się, jak  
jarmarczne fale, i tworzyły dziwny koncert, tłu-  
miony wełną mgły, która je czyściła, iż przebi-  
jały się przez nią jednym zespołem radości.

Rozbudzone ptactwo wodne różnemi głosy  
chwalilo dzień, który przeze mgłę czuło. Światło  
bowiem przeciekało przez gęste, zwelnione war-  
stwy — i mgła, rzednąc powoli, stawała się ze  
sinej liljowa. W onej liljowej rozpyli blisko brze-  
gu ukazywały się barwne widma podlatującego  
ptactwa; nawet ich lyskliwe szyje i strojne harfy  
skrzydeł uznać było.

Wacław, siedząc nieruchomo na usłaniu ga-  
łęźnem między pniami, dolinę rozwidniałą mając  
u stóp, chłonał oczyma pilnemi i słuchem wy-  
ostrzonym rozbuchane pokolei życie. Słuchał  
uważnie tokowania guszca, zajmował go odzew  
cietrzewia, pilnie śledził robotę dzięcioła; gdy ten  
począł kuć na pniu niedalekim, z zajęciem przy-  
glądał się jego czarnej jak sadze opierzy o ozer-  
wonym, wywiniętym czepcu; lecz najwięcej uwa-

gi dawał na jezioro, gdzie gwar przeróżnych głosów dzwonił.

I pomału, nieznacznie, jako to światło proszące w dolinę, udzielała się mu radość rozbudzonego stworzenia, iż począł się czuć w zespole ze wszystkim. W piersi, dziwnem, nieznanem dotąd wzruszeniem rozgranej, zrywały mu się jakoby radosne ptaki, świt dzwoniące. Nie znał dotąd takiej szczęśliwości. Przeto wdzięczny był wszystkiemu dokoła, pozdrawiał sercem każdy odzew życia, rozbawionemi oczami śledził podlatujące we mgle liljowej ptactwo, i duszę otwierał szczęśliwą naprzeciw radości barw. Zapomniiał całkiem o celu, w jakim tu przybył. Czuł się w dolinie, jak wszystko naokół: — w jednym rozświecie radosnym.

Zapatrzonego we mgłę liljową uderzył szelest z boku. Obrócił oczy, i serce mu myśliwskie zadrzało...

Na łakę z tajgi wybiegł rogacz. Stał przed nim niedaleko, prawie na strzał.

Wacław, gotując strzelbę ostrożnie, przyglądał mu się... Wspaniały okaz, bezpiecznie w schronach tajgi ojczystej wychowany. Jeszcze na rogach rozłożystych i na czerwonej, gładkiej sierści lśniła się rosa. Widać przedzierał się przez gąszcz. — Spóbował trawy odniehcenia uszczknął parę kwiatków, poczem podskoczył na miejscu i rozejrzał się wesoło.

Wacław począł mierzyć doń, kierując muszkę pod przednią łopatkę, gdzie pod muskulem drgało serce. Miał pociągnąć za odwód, gdy rogacz zwrócił ku niemu piękną głowę. Oczy jego pa-

trzyły prosto w oczy Wacława — tak jakoś bezobawnie, ufnie.

Wacław opuścił strzelbę na kolana. W tym momencie bowiem przypomniało mu się zdarzenie jedno, gdy polował z Osmanem na kozły. Postrzelił kozła — i gdy przypadł ku leżącemu na ziemi, zobaczył wyraźnie, jak z dużego, łagodnego oka spłynęła łza i spadła na liść... Jak perła — została długo na liściu. — Nieraz to przydarzenie wyrzutem go nachodziło. Czemu znów teraz? Sam zły był na się za to — jakby kiedy indziej powiedział: — rozmięczenie.

Ujął strzelbę powtórnie, lecz znów ją opuścił. Klóciło się w nim dwóch — wyraźnie dwóch ludzi.

— Zabij! Okazja się nie trafi...

— Poczekaj! Trzeba pomyśleć...

— Ujdzie!

— Zaraz... Przypatrzę się tylko...

I począł się przypatrywać rogaczowi, który nic nie przeczuwając baraszkował swobodnie na łakę.

Ślady jego lekkomyślne na siwym płaszczu rosy kreśliły ciemny ornament. — W momencie pewnym stanął, nastawił ostre żłobki uszu na melodię rozdzwonionego życia na jeziorze — i oczy jego jakoby uśmiech rozszerzył. Świetliła się w nich radość wielka, beztrioskie szczęście istnienia. — Potrzęsnał swą dumną, uwieńczoną głową i znów w zachwycie sposązał. — Rogi jego zapłonęły w potężniejącem szybko świetle, jak ogniste latorośle. — Po gładkiej, czerwonej sierści zbiegały złote połyski. — Radość nadmier-

na nie dała mu chwili trwać w bezruchu. Podskoczył z miejsca jako płomień i zawiódł swój lekki taniec.

W owej chwili na łąkę wybiegł z tajgi drugi... W podskokach tanecznych przypadł ku niemu. Poczęli się swawolnie szermować rogami...

W sercu Wacława trwała jeszcze kłótnia.

— Strzel teraz. Obu połóżysz.

— Zaraz. Niech się im przypatrzę.

— Na co czekasz?

— Piękne są...

W tym momencie padł w dolinę z poza wzgórz tajgi pierwszy grot słońca...

Równocześnie z kępy pobliskiej przestrelił ku wodzie z krzykiem szary bekas — głos jego ostry, donośny przeciął powietrze, jak świst cyrkularki.

W odpowiedzi na to krzyk się na jeziorze podniósł. Rozgwar się wzmógł.

Z poza wzgórz tajgi raz wraz grot padły ogniste — — aż z niespodzianą szybkością stanęła na zębach lasu w krzyku płomieni lśniąca kula...

Szał najwyższy ogarnął dolinę.

Wacław uczuł się olśnionym. Cisnął od siebie strzelbę — wstał — i wyciągnął ramiona do słońca, jak skrzydła. Najwyższem uczuciem serca, radością napelnionego, dziękował za łaskę Świtu...

Naraz wpadło w dolinę dalekie echo strzału. Widać brodacz polował.

Krzyk grozy wzniósł się z nad jeziora... Wacław widział przed sobą w zamgleniu światła

przeżalone oczy dwóch rogowców, które przestracach na moment znieruchomił — poczem zabrały się i oglądając się na boki z trwogą, łukami pomknęły w tajgę. Jeszcze rogi ich wybłyskujące z drzewiny niższej widać było.

Słońce już było wysoko, mgła się rozpyliła i wsiąkła w błękit, gdy Wacław opuścił dolinę.

Idąc zpowrotem do chaty Jana, czuł z dziwnie tkliwą radością narodzone w piersi nowe życie. Jak perła — błyszcząca na liściu przed oczyma serca jego łza, spadła z żalu za życiem z ciemnego oka umierającego kozła.





101635

### SPIS RZECZY.

	Str.
Juzyna . . . . .	5
Błazkowa łysina . . . . .	18
Wojtusiowe lato . . . . .	26
Opowieść o pianetniku . . . . .	59
O Wojtku, którego na Szczepana przekręcili . . . . .	65
Lis . . . . .	75
Świt nad Leną . . . . .	85

## „DLA WSZYSTKICH.“ Nowele, Podania, Legendy, Opowieści, Humoreski.

### Serja A: Pisarze Polscy.

1. DOMAŃSKA, A. Złota przędza. Wydanie drugie.	—,45
2. — Kuglarz Matki Boskiej. Leg. Wyd. drugie	—,50
3. — Krzyż w Probolowicach. Leg. Wyd. drugie	—,45
4. — Ave Maria. Legenda. Wydanie drugie . . . . .	—,45
5. — Czeladnik majstra Szymona. Legenda. Wy- danie drugie . . . . .	—,30
6. GLIŃSKI, K. Ostrzeżenica. Now. Wyd. drugie	—,30
7. JESKE-CHOIŃSKI, T. Rycerz bandyta. Nowela Wydanie drugie . . . . .	—,40
8. — Trubadur w pułapce. Now. Wydanie drugie	—,45
9. JEZIERSKI, E. O skarb Gwajkurów. Opowia- danie. Wydanie drugie . . . . .	—,90
10. — Za wiarę i ojczyznę. Opow. Wydanie drugie	—,40
11. TUCHOŁKOWA, St. Dziewica Orleańska. Po- wieść hist. Wyd. trzecie. Z ilustr. . . . .	—,90
12. JESKE-CHOIŃSKI, T. Sąd Boży. Wydanie drugie	—,40
13. DOMAŃSKA, A. Królewska niedola. Powieść hist. Wyd. trzecie. Z ilustracjami . . . . .	—,40
14. JAROSŁAWSKI, M. Odwet Drzymały. Nowela.	
15. — Szwabski niewolnik. Nowela. Wydanie drugie	(w druku)
16. — Patrol wigilijny. Nowela . . . . .	
17. DOMAŃSKA, M. Siostra Hanna. Wyd. drugie	
18. — Żona utana. Nowela. Wydanie drugie . . . . .	
19. — Panienska ze dworu. Nowela. Wydanie drugie	
20. BAŁUCKI, M. Latawica. Nowela . . . . .	—,35
21. — Za późno. Nowela . . . . .	—,35
22. BOGDANOWICZ, E. Błękitna pantera. Z ilustr.	
23. — Sępie gniazdo. Opowiadanie. Z ilustracjami	
24. GOMULICKI, W. Strach. Opowiad. żołnierskie	—,20
25. — Syrena. Opowiadanie . . . . .	—,15
26. — Słdat. Opowiadanie . . . . .	—,55
27. — Zakazane. Opowiadanie . . . . .	—,20
28. — Dlaczego mój znajomy nie mógł dotąd „pism“ swoich napisać. Humoreska . . . . .	—,20

Opowieść o pianetniku.

29. JASIŃSKI, K. J. Dawni ludzie. Opowiadania Z ilustracjami	-50
30. STODOR-CEHAK, A. Czarna ściana. Nowela.	-40
31. MORAWSKA, Z. Skarbiec Faraona. Opowieść egipska	-40
32. ORWICZ, J. Gołębice. Szkic powieści.	-50
33. — Cyrograf. Nowela	-30
34. GLIŃSKI, K. Przeklęty ród. Nowela.	-60
35. — Ave. Nowela	-50
36. CIEMBRONIEWICZ, J. Mistrz Twardowski. Opo- wiadanie. Z ilustracjami	-75
37. WIERZBIŃSKI, M. Księżyna. Opowiadanie	-20
38. SEWER. Zielona Latarka. Nowela.	-50
39. JACKOWSKI, N. M. Tumba. — „Ojciec nasz”. Opowiadania z puszczy amerykańskich	-35
40. — Marja Antonina. Humoreska brazylijska	-40
41. GLIŃSKI, K. Wielki szlem. Wujaszek. Nowele	-25
42. KROPIWNICKA, C. Giewontowy Hufiec. Opow.	-50
43. SEWER. Mama sobie życzy. Nowela	1,10
44. GLIŃSKI, K. Murlaj. Nowela.	-15
45. — Kowalowa góra. — Na widecie. Nowele	-25
46. WIERZBIŃSKI, M. Pięść Marcina Wilczka. Now.	-25
47. SEWER. Lusia Burlak. Nowela	-65
48. — Pierwszy utwór. Nowela	-45
49. GLIŃSKI, K. Pan Radca. — Filipek. Nowele	-30
50. SEWER. Na pobojowisku. Nowela	-30
51. GAWALEWICZ, M. Sprawa honorowa. Nowela	-60
52. — Jööl. Nowela	-30
53. JAROSŁAWSKI, M. Walczące widma.	-60
54. KRASZEWSKI, K. Skuteczne wody. — Pokolei Humoreski	-40
55. SZELBURG-OSTROWSKA, E. Legendy żołn.	-40
56. KRASZEWSKI, K. Wyprawa na żubry. — Plama Humoreski.	-40
57. KBZYŻANOWSKI, A. Za winy niepopelnione. Nowela	-60
58. KRASZEWSKI, K. Nehemi. — Reb Icek. Hum.	-30
59. DOMAŃSKA, A. Orlecia. Trzy opowiadania	-60
60. ŻEGOTA, R. Czarne uroki. Opowieść współcz.	-70
61. KRASZEWSKI, K. Trzewiczek. Nowela	-80
62. RELIDZYŃSKI, J. Z dni krwi i chwały. Now.	1,30
63. KORWIN, J. Zemsta. Nowela	-65
64. DOMAŃSKA, M. Dzwony. — Śmierć Jana Cho- dora. Dwa opowiadania	-60

65. KRASZEWSKI, K. Białońózka pana majora. Now.	-90
66. SOKOŁOWSKA, Z. Zaklęty młyn. Opowiadanie historyczne	
67. WIERZBIŃSKI, M. Virtuti militari i in. nowele.	
68. SADOWSKA, A. Wiedźma. Nowela	
69. SZCZEPKOWSKI, J. Niebezpieczna podróż — Koleżanka. Nowele.	
70. ORKAN, W. Opowieść o planetniku. Nowele.	
71. SZCZEPKOWSKI, Z. Wrogowie ludu. Powieść.	
72. REUTÓWNA, M. W cygańskim obozie. Pow.	
73. SZCZEPKOWSKI, J. Wysłuchani. Nowele	

### Serja B: Pisarze Obcy.

Narazie ukazały się względnie ukazały się następujące numery:

100. GUYON, K. Przygody młodego wyspiarza (bezpl.)	
101. — Na dalekim Zachodzie	
102. HELLIN P. Z tajemnic Egiptu	
103. DICKENS, K. Wytropiony	
104. COLLINS, W. Żółty tygrys	
105. GUYON, K. W krainie Gris-Gris	
106. — Nad brzegami Gangesu	
107. LINEL, K. Piersze pomysły wielkiego wynalazcy	
108. HELLO, E. Opowieści niezwykłe	
109. GOBINEAU, A. Gamber-Ali	
110. GUYON, K. W krainie diamentów	
111. SZOTTOWA, A. Skarby olbrzyma Baśn. angielski.	
112. FARNEY, M. Wśród stepów i pustyń Mongolji.	
113. JANSON, G. Fantazja	
114. SAMOY, R. Perla Wschodu	
115. PELLIER, H. Na tajemniczej wyspie	
116. DOREY, L. W głębi Indochin	
117. SOKOŁOWSKA, Z. Zeschly liść	
118. DEBASTE, R. Nad morzem Bretanii	
119. CRAIK, MRS. Szyccerz z Bruges	
120. SAMOY, R. Ziszczone nadzieje	
121. SZOTTOWA, A. Tom — Tit — Tot	
122. CONWAY, MRS. Tajemnica Stradivariusa	
123. PELLIER, H. Młody Czarnoksiężnik	
124. SOKOŁOWSKA, Z. Gwiazdooka	
125. GASKELL, E. C. Szara Kobieta	
126. SAMOY, R. Wśród puszczy i śniegów Alaski.	

# OGROMNY WYBÓR KSIĄŻEK DLA MŁODZIEŻY

Najulubieńszych Autorów Polskich i Obcych.

Bogdanowicz, Czeska, Domańska, Dyakowski, Margert, Korsak, Rosinkiewicz.

Cooper, Finn, Marryat, Verne, Wells.

Żądajcie do przejrzenia!

W Poznaniu:

w Księgarni św. Wojciecha

Plac Wolności 1.

W Warszawie:

w Księgarni M. Szczepkowskiego

Aleja Jerozolimska 39.

W Wilnie:

w Księgarni św. Wojciecha

Ul. Dominikańska 4.

W Krakowie:

w Księgarni Krakowskiej

Ul. św. Tomasza 35.

W Lublinie:

w Księgarni św. Wojciecha

Krakowskie Przedm. 43.